Nr. 33. Kraków, dnia 14 sierpnia 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Okres przejściowy.

Społeczeństwo polskie we wszystkich zaborach przeżywa obecnie okres załomu i przesilenia. Wszędzie jesteśmy świadkami rozmaitych wypadków, świadczących dowodnie, że znajdujemy się w okresie przejściowym pomiędzy dawnemi metodami a nowemi dotąd nieskrystalizowanemi zupełnie.

Punktem wyjścia dla obecnego stanu jest czas t. zw. rewolucyjny, obejmujący lata od 1904—1906. Przesilenie, przez jakie podówczas przeszło społeczeństwo polskie w Królestwie Polskiem, odbiło się silnie na układzie stosunku tak zaboru austryackiego jak Wielkopolski, a ferment, przez jaki wówczas przeszliśmy, dopiero teraz ogarnia i inne dzielnice.

Po strasznym ubytku sił, w walce z rządem rosyjskim i pokonaniu anarchii wewnętrznej, Korona przechodzi obecnie kryzys: z jednej strony rząd rosyjski nieustannie prowokuje społeczeństwo i stosuje wobec niego politykę bezwzględnych represyi, a łącznie z reakcyą w samem państwie rosyjskiem postępuje coraz silniejsza reakcya w prowincyach polskich jemu podległych. Zawiodły nas nadzieje pokładane na konstytucyi i na przeświadczeniu, że Rosya dojrzała do samoistnych rządów: więc też z apatyą ogół odwraca się od życia politycznego, skierowując swoje dążenia raczej ku wewnętrznej pracy społecznej, kulturalnej i gospodarczej.

W Wielkopolsce ostatnimi czasy wystąpiły do czynnej akcyi politycznej nowe siły społeczne: lud. Widzieliśmy smutny fakt secesyi wyborczej, koniecznej wobec ogromnej nietolerancyi żywiołów zachowawczych, nie liczących się zupełnie z wolą zbiorową mas ludowych. Nikt inny jeno one przeprowadziły reformy w Towarzystwie Demokratyczno-Narodowem, stając do czynnego z inteligencyą współdziałania. — Z drugiej strony obóz zachowawczy wysuwa hasła polityki ugodowej, łudząc się pozorami rzekomej zmiany polityki rządu pruskiego wobec Polaków.

Zabór austryacki przeszedł duże zmiany wskutek reformy ordynacyi parlamentarnej, powołując do pracy publicznej wszystkich dojrzałych obywateli. Fakt ten w kraju odbił się na układzie sił politycznych w tym kierunku, że ster spraw publicznych poczyna zwolna przechodzić w ręce żywiołów demokratycznych. Oczywista, że skutkiem tego jest gwałtowna obrona konserwatystów, którzy obecnie wywołują fermenty, jakich jesteśmy świadkami we wszystkich stronnictwach, byleby jeno utrzymać się przy władzy.

Równocześnie zaś wszędzie występuje na widownię publiczną czynnik dotąd zapoznawany: lud. Zyskujemy w nim dla Polski 20 milionów nowych obywateli, a on, świadom sił swoich domaga się należnego sobie miejsca. Tem przedewszystkiem należy tłomaczyć załomy, w jakich znalazły się niektóre partye polityczne w Galicyi, to jest momentem najważniejszym w życiu obecnem Polski.

***

Niemcy galicyjscy a uroczystości grunwaldzkie.

Organ wszechniemców galicyjskich *Deutsches Volksblatt für Galizien,* poświęca w ostatnim numerze artykuł wstępny uroczystościom grunwadzkim w Krakowie. Volksblatt pieni się i rzuca, prowokuje i denuncyuje, słowem zdradza wszelkie objawy furyi czy pomieszania. Korzystając zaś ze sposobności, rzuca w świat niemiecki hasło, że „jedyną odpowiedzią na polskie uroczystości grunwaldzkie. będzie założenie w Galicyi *niemieckiego Banku ludowego,* któryby regulował obroty pieniężne licznych niemieckich kas Raiffeisenowskich, zakładanych przez „Związek chrześc. niemców w Galicyi w tempie gorączkowym w koloniach niemieckich. Volksblatt spodziewa się

ogromnych nieocenionych korzyści, a głównie wzmocnienia niemczyzny i uzyskania podstawy do skutecznego podboju gospodarczego dotychczas polskiej Galicyi.

W pomienionym artykule czytamy między innymi dosłownie: „W bieżącym roku po całej Galicyi idzie hałas jubileuszowy Grunwaldu. Każdy szlachcic czuje się znowu małym polskim królem, każdy chłop dosiada na obchód swej szkapy, z ambony i katedry w kościołach i pod gołym niebem rzuca się na niemców gromy, we wspomnieniach odnosi się znowu nad nami zwycięstwa i ratuje się Polskę na 24 godzin. Czy nie jest więc dla nas ponętnym właśnie w tym roku grunwaldzkim zbudować niemiecki Bank ludowy jako pomnik niemieckiej pracy i niemieckiej zapobiegliwości, jako *twierdzę przeciw wszechpolskim dążeniom,* jako odpowiedź na urągowiska na nas w tym roku rzucane. Byłoby to w każdym razie cenniejsze zwycięstwo niemieckiej sprawy, niż niegdyś „wątpliwe“ zwycięstwo Polaków nad Zakonem krzyżackim. Rodacy do dzieła! Wrzawa grunwaldzka minie, ale nasz Bank na zawsze pozostanie i kwitnąć będzie i uratuje dużo ziemi dla naszego narodu“.

Sam obchód grunwaldzki znajduje w Volksblacie drwiąco ironiczną ocenę. Na boisku sokolim ćwiczyło, według jego sprawozdania, „zaledwie 1000 sokołów i 800 sokolic“. „Wywijanie“ Sokołów karabinkami musiało jednak „oburzyć serce każdego żołnierza, który umie się z bronią obchodzić“. Popisy zaś konne Sokołów były „blamażą“ i stały „niżej poziomu przeciętnej szkoły jazdy konnej“. W pochodzie grunwaldzkim nie było życia i porządku, bo „skądby go Polacy wzięli?“. Dalej denuncyue organ niemiecki ks. biskupa Bandurskiego i marszałka St. hr. Badeniego za ich patryotyczne przemówienia. Mowa marszałka jest jego zdaniem „napaścią na Niemcy i Rosyę“, a cały przebieg uroczystości udowodnił, że „Polacy dążą do niezawisłości“, a więc tworzą „niebezpieczeństwo nietylko dla Niemiec i Rosyi, ale także i dla Austryi“. Jak ze słów tych wynika, Niemcy galicyjscy, zorganizowani w „Bund der christlichen Deutschen“, zamierzają wyzyskać rocznicę grunwaldzką do nowej akcyi narodowej, która ma wzmocnić niemczyznę w Galicyi przy pomocy wzmocnienia przedewszystkiem niemieckiej samodzielności gospodarczej.

Baczność więc!

Z wakacyi.

Listy do Czytelnika.

II.

Kochany Przyjacielu!

Wiele pośród dni słonecznych, wypoczywając w obramowaniu gór niebotycznych, oddechając powietrzem nieskażonem niczem, rozmyślam o sobie, i o ludziach wogóle. Dobrze jest wejść w głąb siebie. Każdy z nas ma w duszy zakamarki, do których nie wpuszcza nikogo, chramy nikomu niedostępne. Życie codziennie tyle każdemu przydaje trudów i zmartwień i trosk, a wszystkie związane są ze stosunkami społecznymi i łączą się z współżyciem ludzi, że czuje się człowiek wprost szczęśliwy, gdy znajdzie chwilą, w której jest zdala od stugłosu życia, od walk ludzkich, sam z myślami swojemi.

Pośród rozmyślań tak często widzę, jak bardzo jesteśmy nikli, już nie wobec Boga i natury, ale wobec nas samych, wobec tego, co wiążemy z pojęciem człowieka. W trudzie nadmiernym, w złym rozkładzie czasu, w niestosownej ekonomice sił karlejemy i coraz bardziej oddalamy się od ideałów, jakie mieliśmy w starożytności i jakie mamy obecnie.

W ostatniem ćwierćwieczu podniosły się protesty i poczęto znów przywracać ciału należne mu prawa. Uwydatnia się to zwłaszcza w wychowaniu młodzieży: nawet w społeczeństwie i w pedagogii wychowanie nasze fizyczne młodzieży coraz bardziej jest pielęgnowane. W szkołach naszych wprowadza się zwolna gimnastykę jako przedmiot obowiązkowy, a sporty są przez władze szkolne popierane gorliwie. W tej akcyi Polska wcale obcym nie ustępuje. I słusznie. Byliśmy dawniej narodem słynącym z cnót rycerskich: tężyzny i siły, dzielności i odwagi. Zamieniające w współczesnym pokoleniu zalety te obudzają się w młodzieży, która z rozwojem ducha, stara się równomiernie o rozwój ciała i sił fizycznych.

Gdy patrzę na otaczającą mnie harmonię w przyrodzie, tem silniej odczuwam brak kompletnej jedności w życiu ludzkiem i społeczeństwa i jedności. Może następujące po nas pokolenie będzie szczęśliwsze: będzie pokoleniem ludzi dzielnych, tęgich i zdrowych, a tylko człowiek zdrowy może stworzyć czyn wielki, twórczy i zdrowy. Pamiętajmy, że Polsce trzeba nietylko ludzi zdolnych, pracowitych i mądrych, ale równocześnie jej trzeba ludzi dzielnych i zdrowych, nie cherlaków i niedołęgów!

Sfax.

Aleksander Krukowiecki.

I.

W dusznym skwarze sierpniowego popołudnia posuwał się zwolna powstańczy oddział Habicha drogą od Wolbromia do Ojcowa. W oddziale tym jako prosty szeregowiec postępował hr. Aleksander Krukowiecki. Brudną pamięć odziedziczył młody Krukowiecki po swoim ojcu. Niesforny jenerał, zawistny intrygant, w końcu wyraźny niemal zdrajca, nie dla pieniędzy może, ale przez słabość ducha, Jan Krukowiecki był przedmiotem wzgardy i potępienia u całego narodu za to, że jako wódz i naczelnik rządu poddał Warszawę w 1831 roku Moskalom wtedy, gdy na rozkazy jego czekało kilkadziesiąt tysięcy polskiego wojska, gotowego bić się z wrogiem do ostatka.

Syn jego zmazywał hańbę ojca w powstańczych szeregach. Oddział Habicha zbliżał się właśnie do Glanowa, gdy przednia straż ostrzegła go, że z lasu wychylają się kolumny Moskali. Był to silny oddział pod dowództwem księcia Szachowskiego, liczący blisko półtora tysiąca piechoty, pięćset kawaleryi i dwie sotnie kozaków.

Habich rozejrzał się ze smutkiem po swoich szeregach. Były szczupłe i licho uzbrojone. Twarz dowódzcy zasępiła się na chwilę ciężką troską i głębokim namysłem.

Nagle odwrócił się do nieruchomych, zamarłych w oczekiwaniu powstańczych szeregów.

„Bracia!“ — zawołał donośnie — Bracia! Potrzebuję dziesięciu ochotników. Zostaną oni w Glanowie i będą oni powstrzymywać Moskali, opierać się w dziesięciu całej ich sile do ostatniego tchnienia. Reszta oddziału uchodzić musi pod ochronę lasów“. Umilkł na chwilę, wodząc bystremi oczyma po twarzach wsłuchanych w jego słowa powstańców. Szeregi zakołysały się nieco, jakby przeleciał po nich niewidzialny wicher mroźnej śmierci i skamieniały znowu w oczekiwaniu i ciszy.

„Kto na ochotnika?“

„Ja!“ ozwało się grzmotem trzysta piersi, cały oddział rzucił się naprzód potrząsając karabinami i kosami.

Roziskrzyły się oczy Habicha. „Niech żyje Polska!“ zakrzyknął pełną piersią, a po szeregach przeleciał długo nie milknący, jak grom mocny okrzyk: „Niech żyje Polska!“

Z szeregów wysunął się Krukowiecki. „Pozwól mi pójść, naczelniku!“ zwrócił się prezentując broń do Habicha.

„Dobrze! Obejmiesz dowództwo nad całą dziesiątką“ zgodził się Habich.

Wybrano dziesięciu najlepszych strzelców, szczupła garstka rzuciła się biegiem w stronę Glanowa, żegnana okrzykami pozostałych towarzyszów.

Piętrowy murowany dwór glanowski, frontem zwrócony na drogę, którą mieli przeciągnąć Moskale, stał zupełnie opuszczony, mieszkańcy znać uciekli przed grozą wojny.

Był to dogodny punkt obronny dla powstańców.

Zatarasowano mocne żelazem okute drzwi powstańcy ustawili się koło okien.

Krukowiecki słynny w całym oddziale jako najlepszy strzelec, kazał dwom szeregowcom stanąć zasobą i nabijać wystrzelone karabiny.

Wśród powstańców zapanowało milczenie wytężonego oczekiwania.

Ostrożnie i zwolna poczęli wsuwać się przez bramę kozacy. Rozglądali się podejrzliwie dokoła, ich małe skośne oczka latały niespokojnie po wszystkich zakątkach podwórza.

Dwóch powstańców podniosło karabiny do ramienia. Krukowiecki wstrzymał ich skinieniem ręki. „Szkoda prochu na to paskudztwo“ — szepnął pogardliwie. Kozacy myszkowali po podwórzu, potem wybiegli na gościniec. Za chwilę doleciały z oddala ich dzikie, nieludzkie wrzaski. „Spostrzegli naszych“ — domyślili się powstańcy. Raz jeszcze obejrzeli ładownice i karabiny, zdala słychać już było głuchy łoskot zbliżającej się piechoty i jazdy moskiewskiej.

Pierwsze szeregi piechoty weszły na podwórze spokojnym miarowym krokiem jak na mustrze. Powstańcy podnieśli karabiny, ten i ów przeżegnał się szybko.

„Pal!“ skomenderował półgłosem Krukowiecki.

Huknęły strzały.

Jak piorunem rażony zwalił się z konia jadący przodem oficer. Kilku żołnierzy wypuściło z rąk karabiny i z jękiem padło na ziemię, przednie szeregi skłębiły się na chwilę, potem z rykiem szalonej trwogi poczęły rozsypywać się po podwórzu, tłoczyć się na napierających z tyłu.

Napad był tak niespodziany, że w całym moskiewskim oddziale zapanował na chwilę zamęt; ozwały się krzyki komendy, oficerowie poczęli płazować cofających się żołnierzy.

Uśmiech tryumfu rozświetlił twarze powstańców. „Damy wam bobu“ szepnął któryś. Zagrzmiała druga salwa, Moskale cofnęli się z podwórza unosząc rannych.

Upamiętali się jednak rychło. Poczęli obchodzić dwór dokoła, obsypując go zdala gradem karabinowych strzałów. Potem z wrzaskiem rzucili się do szturmu, ziemia zajęczała pod ciężkiemi stopami żołdaków. Z okien dworu huknęły strzały — dziesięciu najbliższych było trupem. Krukowiecki chwytał raz po raz karabin z rąk stojących za nim powstańców, nieprzerwanym ciągiem padały z jego ręki strzały, a każdy śmiertelny, rażący najbliższych, najbardziej natarczywych, wydzierający z moskiewskich szeregów oficerów i starszyznę.

Kilka pierwszych szeregów biegnących do szturmu Moskali legło pokotem, inni zatrzymali się na chwilę, potem poczęli cofać się i uciekać.

Szturm powtórzył się jeszcze raz drugi i trzeci. Ale żołdactwo szło już do boju coraz niechętniej, coraz większą trwogą napełniały ich te milczące mury dworu, z okien którego wychylały się lufy karabinów, patrzące na napastników ciemnem okiem niechybnej śmierci.

Po trzecim szturmie nastąpiła długa cisza.

(Dokończenie nastąpi.)

„Do Łzy“.

Któż nie zna ciebie w tej ziemskiej przystani?
Choć każdy chętnie unika cię z ludzi,
Jednak, gdy kogo ogrom cierpień rani,
Lub nagle słońce radości go zbudzi, —
Ty jako brylant o wieczornym zmroku
Skrą blasku w czułem promieniejesz oku.

Od pierwszej chwili, ledwie tylko dziecię
Zacznie wędrówkę po tej twardej ziemi,
I nie wie jeszcze, jak cierpkie to życie, —
Ty je obdarzasz perełkami swemi;
Kołyszysz do snu, budzisz je z uśpienia,
Sennych widziadeł rozpraszasz marzenia.

Nieraz w złowrogiej życia zawierusze,
Gdy „dobre“ rwie się jako nić pajęcza,
Gdy noc rozpaczy ubezwładnia duszę,
Nawet nadziei gaśnie złota tęcza;
Ty jedna wtedy, wierna aż do zgonu,
Szczerym rzecznikiem mu u Stwórcy Tronu!

Cudowna iście siła mieszka w tobie,
Zdolna poruszyć nawet ludzie-głazy.
Niejedno serce hołdujące sobie,
Na bliźnich doli nieczułe obrazy, —
Kiedy cię ujrzy, otwiera swe wrota,
By weszła litość z cnót najpierwsza cnota. —

Drogi klejnocie! Darze Łaski Bożej!
Bez ciebie żywot, jak bez rosy kwiecie.
Biedny! kto ciebie zrozumieć nie może;
Gdy los tułaczy pędzi cię po świecie;
Kto nie zna uczuć, z których czystej toni
Tryskasz; — kto ciebie szczerze nie uroni. —

Prawdomir.

Sokolstwo polskie i towarzystwa wojskowe w Ameryce Północnej.

Sokolstwo organizować się zaczęło w Ameryce daleko później, niż w Polsce, ze względu na brak ludzi, którzy mogliby je zorganizować. Wprawdzie pierwsze gniazdo sokole zorganizowane zostało już w r. 1887 w Chicago, a związek Sokoła istnieje od r. 1894, ale dopiero od r. 1905 datuje się żywszy rozwój tej organizacyi. Obecnie zaś w Ameryce jest już około 300 gniazd, skupiających około 10 tys. młodzieży płci obojga. Przyczyną, dla której tak długo organizacye sokole nie mogły ugruntować się w Ameryce, był nietylko brak instruktorów gimnastycznych, ale także ten fakt, że daleko wcześniej po wszystkich parafiach amerykańskich organizowały się towarzystwa wojskowe, pociągając młodzież barwnym swym strojem. Towarzystwa te popierało duchowieństwo. Towarzystw takich jest po kilka w każdej parafii, a parafii polskich w Ameryce jest blizko 800. W ostatnich czasach jednak zawiązuje się ich mniej, niż dawniej. Sokolstwo natomiast zyskuje coraz więcej sympatyi, a gniazda sokole stają się środowiskami polskiego życia towarzyskiego w Ameryce. Około 30 gniazd posiada już własne domy, w których odbywają się nietylko ćwiczenia gimnastyczne licznych zastępów druhów i drużek, lecz i wieczorki, odczyty i t. d. Sokolstwo tutejsze urządza także częstokroć wielkie manewry polowe, na których obok ćwiczeń sokolich odbywają się manewry wojskowe z bronią palną, w którą prawie wszystkie gniazda



Egzekucya z wyroku sądu polowego w Rosyi.

amerykańskie są zaopatrzone. W manewrach tych biorą częstokroć udział towarzystwa wojskowe.

Sokolstwo amerykańskie bierze zwykle gremialny udział w uroczystościach narodowych, a często i kościelnych. W ostatnich czasach sokolstwo rozpadło się na dwie organizacye, nie żywią one jednak niechęci do siebie i jest wszelkie prawdopodobieństwo, że zlanie nastąpi wkrótce.

Działalność towarzystw wojskowych natomiast od czasu powstania i rozwoju gniazd sokolich nie jest tak intensywna. Liczbą członków przewyższają one w dwójnasób liczbę Sokoła, są

one jednak daleko słabsze, niż sokole. Zakładano też towarzystwa, wzorując się na amerykańskich tak zwanych „towarzystwach rycerskich“, służących przeważnie do parady. Wzięto tylko strój dawnych ułanów lub krakusów, a są nawet w użyciu mundury austryackie i wojska polskie poczęły się mnożyć po wszystkich koloniach. Niektóre z tych oddziałów są nawet wcale nieźle wyćwiczone, są jednakże i niemające pojęcia o mustrze. Komenda w oddziałach przeważnie polska, ale także jest sporo oddziałów, w których posługują się mową angielską na wzór milicyi krajowej.

W całych Stanach Zjednoczonych jest tylko jedna regularna kompania milicyi stanowej z samych Polaków, a to w Milvaukee, Wisconsin, która istnieje od 25 lat pod nazwą „Gwardyi Kościuszki“ i brała udział także w wojnie hiszpańskiej. Animusz wojskowy w czasie tej wojny ogromnie się między Polakami rozbudził. Około tysiąca młodzieży stanęło pod gwiaździstym sztandarem., a kilka razy tyle zgłosiło swą gotowość, z której rząd nie potrzebował już korzystać.

Jakie są koleje w Ameryce?

Nigdzie podobno nie podróżuje się tak wygodnie, jak właśnie w Ameryce. Szczególniej droga żelazna pensylwańska „Pensylvania Railroad“, jako najbogatsza, ma być wedle „Polskiego Przeglądu emigracyjnego“ urządzona ze wszelkiemi nowoczesnemi ulepszeniami. Czytamy w tem piśmie taki jej opis:

Dworce duże. Jedna wielka, wysoka sala — to ogólna poczekalnia. W niej stoją rzędami ławki dębowe lub orzechowe (jak w teatrze) na posadzce terrakotowej; ściany wykładane marmurem, sufit drzewem; pełno światła i bronzów. Na jednej ścianie: kilka okienek do sprzedaży biletów, biuro informacyjne, telegraf, telefony i pokój do ręcznych punktów. Po drugiej stronie: dwie sale restauracyjne, tańsza i droższa; palarnia, gdyż na sali ogólnej nie wolno palić; fryzyer i umywalnie. Na trzeciej ścianie, wysoko — zegar. — Paru drzwiami wychodzi się na peron; jest to wielka kryta hala, o konstrukcyi żelaznej, na kilka pociągów. (Miasto St. Louis posiada największy dworzec; na „Union Station“ stoi 32 popociągów). Część peronu jest odgrodzona sztachetami, w których do każdej pary pociągów prowadzą drzwi. Przy przejściu dziurkują bilety. Nad drzwiami napisy, dokąd pociąg odchodzi i o której godzinie; wieczorem napisy oświetlone. Wszędzie wzorowy porządek i czystość.

Każdy pociąg składa się: z wielkiej lokomotywy, wagonu towarowego czyli wagonu pocztowego i trzech lub więcej wagonów pasażerskich. Pociągi są „mail“ (pocztowe) „express“ i „limited“ (ograniczona liczba pasażerów) Pocztowe zatrzymują się na każdej stacyi, „express“ i „limited“ — zabierają pocztę w biegu. W pociągach jest jedna tylko klasa, lecz wagony dzielą się: na „regular cars“ (zwykłe) i „Pulmann sleeping and coach cars“ (wagony sypialne i fotelowe Pullmann'a). Wszystkie są na 12 kołach, długie, szerokie pudła drewniane, nazewnątrz malowane, wewnątrz wykładane fornierem mahoniowym; podłoga cała pokryta miękkim kobiercem, okna duże.

Wagony amerykańskie zasadniczo tem się jeszcze różnią od europejskich, że gdy te ostatnie dzielą się na szereg przedziałów, tamte są budowane zawsze w postaci jednego dużego pokoju.

Zwykle wagony mają dwuosobowe ławki i oparcia pokryte pluszem czerwonym, które są tak ustawione, że wszyscy siedzą tyłem obróceni do siebie. Za przejazd tym wagonem płaci się 2 centy od mili angielskiej, to znaczy 10 halerzy za półtora kilometra, za co ma się prawo do wiezienia 150 funtów bagażu darmo.

Chcąc jechać wagonem zwanym „prawdziwy Pullmann“ (wyrabianym w fabryce pod Chicago) dopłaca się do poprzedniego biletu za 13 godzin jazdy 2 dolary jeszcze, czyli 10 koron. Wagony te są zewnątrz i wewnątrz jeszcze zbytkowniej urządzone i tem się różnią od poprzednich, że „wagon fotelowy“ zamiast ławek, ma wybite pluszem zielonym fotele o jednej nodze, obracające się.

Wagony sypialne mają ławki pokryte suknem szarem; w dzień podobne do „zwykłych“, w nocy zsuwają się ławki, podnoszą się wewnętrzne przepierzenia do góry, ściany boczne opadają i tworzą, się górne łóżka. Tamże schowane są poduszki, kołdry, firanki i t. p. Na noc zamienia się wagon na szereg celek, zasłoniętych firankami. Na przeciwległych końcach wagonu dwie umywalnie: męska i damska, ze wszelkimi przyborami. Wagony te niosą jeszcze spokojniej niż poprzednie.

Pociąg odchodzi punktualnie, jedynie na wołanie służby: gotowe! Gdy pociąg rusza, dzwon umieszczony na wierzchu kotła parowozu zaczyna dzwonić, wprowadzony w ruch odpowiednim przyrządem mechanicznym. Głos jego milknie dopiero wtedy, gdy pociąg znajduje się już za obrębem stacyi i jest już w pełnym biegu. Co



W ciszy wieczornej.

pewną chwilę odzywa się doniosły głos świstawki; to maszynista ostrzega przejeżdżających przez plant kolejowy. Przejazdy bowiem są zawsze otwarte i oznaczone płotem ażurowym, na biało malowanym. Dróżników przejazdowych niema.

Z chwilą, gdy pociąg odjeżdża, zamykają szczelnie wszystkie wagony, by przeciągów nie było. Pomocnik konduktora umieszcza pasażerom ich ręczne pakunki na małych półkach, lub też zabiera je do specyalnego przedziału. Robi to sam, bez proszenia, szybko, usłużnie. Wchodzi konduktor, odbiera bilety, dając w zamian odpowiednio wycięte kartki kolorowe. Potem pomocnik roznosi pisma, słodycze, owoce, po cenach zwykłych, a przed każdą stacyą (na 5 minut) informuje o tem, że się do niej dojeżdża. Palić w wagonach nie wolno, jest do tego specyalny mały przedział, w którym ławki obite są skórą. I znów z chwilą zbliżania się do stacyi odzywa się głos dzwonu, pociąg bieg zwalnia i nagle staje.

Przed każdą stacyą końcową zjawia się w wagonach urzędnik „towarzystwa ekspresowego“, któremu oddaje się kwit bagażowy, dyktuje adres pod którym ma rzeczy odesłać tegoż dnia lub następnego, płacąc mniej więcej po 25 cent., to jest 1 kor. 25 hal. od sztuki.

Katolicyzm w Indyach.

W Indyach na 294 milionów ludności przypada 2,900,000 chrześcian, a w tej liczbie katolików 1,525,000. Właściwy rozwój misyi w tym kraju datuje się mniej więcej od 1850 r. Obecnie Indye posiadają 36 zorganizowanych dyecezyi; na czele każdej z nich stoi rezydujący biskup. Jezuici i bracia Nauki Chrześciańskiej utrzymują doskonale się rozwijające szkoły, zaś misyonarze katoliccy cieszą się wśród tubylców znacznem poważaniem.

Kalkuta w roku zeszłym obchodziła 50 letnią rocznicę osiedlenia się w tym mieście zakonu Jezuitów. Indostan już 1834 roku posiadał zorganizowaną hierarchię kościelną, a wkrótce potem został on podzielony na 3 wikaryaty apostolskie. Ale były to czasy ciężkie dla Kościoła w Indyach, gdyż katolicyzm doznawał mnogich napaści, a liczba jego zwolenników chwilami przerażająco malała. — Tak np. gdy w końcu XVIII wieku kraj posiadał 40,000 chrześcian, w 1842 r. było ich zaledwie 8,000 obsługiwanych przez 4 kapłanów. Śród tej garstki panowało nadto, dzięki schyzmie goańskiej, rozdwojenie religijne, które zmusiło wikaryusza apostolskiego do ucieczki z terytorym portugalskiego na francuskie. W takiej to krytycznej dla Kościoła chwili w 1859 roku z polecenia Piusa IX-go przybyli do Kalkuty w liczbie 7 pierwsi Jezuici, Belgijczycy.

Obecnie utrzymują Jezuici 177 szkół w Indostanie, w których uczy się 13,992 dzieci. Od chwili zainstalowania się misyi w Kalkucie pracowało tu 383 misyonarzy, z których 93 zmarło na epidemię. Wznieśli Jezuici kościołów i kaplic 456, w 1908 roku ochrzcile 101,008 osób, katechumenów liczyli 79,549, a komunii udzielili 553,839 wiernym. Kalkuta od roku 1886 jest metropolią. Obecnym arcybiskupem jest Jezuita ks. Mueleman, Flamandczyk z pochodzenia.

O przebiegłości zwierząt.

Paryskie czasopismo „Revue“ zamieściło artykuł Henryka Coupin'a, poświęcony zdolnościom zwierząt i celowemu zestawieniu związku między przyczyną i skutkiem. Jest bardzo wiele sprawdzonych obserwacyi, które stwierdzają, że koty się wyuczyły otwierać drzwi. Chcąc to uskutecznić, zbliżają się do drzwi, wskakują na klamkę, naciskają na nią łapką, podczas gdy tylnemi zapierają się o ramę drzwi. Uzyskują w ten sposób bardzo łatwo cel zamierzony. Couch opowiada nawet o kotce, którą podpatrzono przy otwieraniu drzwi do spiżarni, by się dostać do mleka. Uderzała łapką tak długo w klucz, aż się otworzył zamek lekko funkcyonujący. Arcybiskup z Wathley opowiada o kocie domowym, który każdym razem chcąc wyjść, dzwonił na służącego, by mu otworzył drzwi. Pierwszej próby dokonał o północy. Dzwonek zaalarmował wówczas cały dom. Przypuszczano, że to włamywacz. Niemałem było rozczarowanie, gdy się przekonano, że to kot zadzwonił. Z czasem kot przyzwyczaił się do dzwonienia. Raz opowiada o małym terrierze angielskim, własności jego przyjaciela. Ten mądry pies nauczył się dzwonić na rozkaz na służącą. Właściciel psa, chcąc się przekonać, czy zwierzę rozumie cel dzwonienia, rozkazał pieskowi, by zadzwonił na służącą. Gdy służąca opuściła pokój, powtórzono rozkaz; pies podskoczył natychmiast do dzwonka, by wykonać rozkaz pana. Obserwowano również



Ciekawa wiadomość.

bardzo często psy i koty, które podpatrując, uczyły się kołatać do drzwi.

Dureau de le Malle opowiada, jak jego terrier zrozumiał używanie kołatki, przypatrując się jej użyciu. Zwierzę nie miało poprzednio nigdy sposobności widzieć kołatki. W czasie jednego z spacerów po Paryżu terrier, zmęczywszy się, pobiegł sam do domu. Drzwi były zamknięte. Pies szczekając, starał się nadaremnie o otworzenie mu drzwi. Przypadkowo nadszedł jakiś pan, który zapukał. Terrier skorzystał z otworzenia drzwi, by wśliznąć się do domu, ale nie zapomniał nauczki; jeszcze tego samego popołudnia wychodził kilkakrotnie z domu, a wróciwszy poruszał kołatką, by spowodować otworzenie mu drzwi. Jeszcze bardziej zajmującem jest zdarzenie z przebiegłym kocurem, o którym doniósł współpracownik czasopisma angielskiego „Nature". Właściciel kocura sypał porą zimową w ogrodzie okruszyny chleba dla ptaków. Kocur zauważył wkrótce, że to ściąga wróble. Każdym razem w czasie sypania okruszyn chował się w pobliżu pod krzakiem, by potem próbować mniej lub więcej szczęśliwych napadów. Pewnego dnia nasy-

pano okruchy dopiero wieczorem. W nocy spadł śnieg, pokrywając grubą warstwą pożywienie dla ptaków. Następnego dnia rano właściciel domu zauważył ku swemu zdziwieniu, że jego ładny kocur czarny odgarniał starannie śnieg. Wydobywał z pod śniegu okruchy i układał kawałek po kawałku na uboczu. Po dokonanej robocie zaczaił się, jak zwyczajnie pod krzakiem. W ciągu zimy obserwowano często, jak kocur przygotowywał w ten sposób przynętę dla wróbli.

Wierność mężczyzn.

Pewne kobiece pismo angielskie rozpisało przed pół rokiem jeszcze kwestyonaryusz na temat: „Jak długo trwa wierność małżeńska mężczyzn". Na ten interesujący, bogaty temat otrzymało pismo 90,000 odpowiedzi. Większość ich stwierdza, że niewierność małżeńska mężczyzn nie należy wprawdzie do złośliwych legend, ale, że w każdym razie nie taki djabeł czarny jak go malują. Większość ich utrzymuje, że mężowie potrafią być wierni do końca życia, o ile nie poczytywać za niewierność drobnych wykolejeń.

Druga połowa odpowiedzi jest bardzo różnorodna, są tam odpowiedzi zarówno żon, jak i panien. Znajdują się tam bardzo krańcowe zdania o wierności serca męskiego. Jedna z panien opowiada, że ją zdradziło aż 13 mężczyzn, którzy przysięgali jej byli najgorętszą miłość; wobec tylu zawodów zaniechała dalszych prób. Jakaś inna kobieta pisze, że na podstawie „licznych doświadczeń" osobistych i zwierzeń ustalić może nawet czas wierności męskiej — norma ta wynosi 1000 dni. Bardzo wiele kobiet uważa mężczyzn za niezdolnych nawet do tak niedużej wierności — charakteryzuje wogóle miłość męską jako efemerydę.

Wielce ciekawy jest statystyczny związek wierności i uczuciowości mężczyzn z ich „kolorem" i zawodem.

Według opinii Angielek okazuje się, że twierdzenie o specyalnem ułożeniu do wiernych uczuć u błękitnookich blondynów — jest z gruntu fałszywe.

Również niewierni, choć bardzo gwałtowni w wylewie swych uczuć są bruneci o ciemnej cerze. Natomiast szatyni o brązowych oczach są najwierniejsi i równo silni jak i trwali w swych uczuciach. Co do blondynów — to jeszcze zauważyć należy, że podobnie jak „letni" są w wyrazie swych uczuć, tak samo „letni" są w dochowaniu wierności.

Na podstawie tedy statystyki angielskiej, należy określić ideał mężczyzny pod względem uczucia i stałości — szatynów o białej cerze.

Podług zawódów — oddają kobiety angielskie palmę pierwszeństwa cnocie lekarzy, potem idą kupcy, znacznie dalej w tym szeregu stoją adwokaci i inżynierowie. Najbardziej „motylkowaci" są aktorzy.

Ze świata rozwodów.

Gdzie właściwie rozwodzą się najwięcej? Najniezawodniej największa ilość odpowiedzi wskazałaby na Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Tymczasem tak nie jest.

Krajem, który wszystkim innym przoduje pod względem ilości rozwodów, jest Japonia, gdzie na 100,000 przypada aż 215 rozwodów. Natomiast pomiędzy krajami chrześciańskimi wykazują największą liczbę rozwodów istotnie Stany Zjednoczone. Przypada tam 73 rozwody na 100,000 mieszkańców. Z krajów europejskich, w których przeprowadzają rozwody, stoi na czele Szwajcarya. Ale między nią a Stanami Zjednoczonym zachodzi wielka różnica, gdyż na 100,000 mieszkańców przypada 32 rozwody. Po Szwajcaryi następuje Francya z 23 i Rumunia z 20 rozwodami również na 100,000 głów. Jeżeli zwrócimy uwagę na koniec listy statystycznej rozwodów, to się przekonamy, że w Austryi jest najmniej rozwodów, bo tylko 1, w Anglii i Walii (bez Szkocyi i Irlandyi) 2, we Włoszech 3, Norwegii 6 rozwodów w stosunku do 100,000 mieszkańców. Liczbą przeciętną w Rzeszy Niemieckiej jest 15; jednakże tę przeciętną ilość przekracza bardzo Saksonia, wykazując aż 29 rozwodów na 100,000 mieszkańców. Z statystyki można się zarazem przekonać, że liczba rozwodów wzmagała się niepomiernie w ostatniej połowie stulecia.

Aby cyfry podane należycie ocenić, należy je zestawić w stosunku do małżeństw. Wtenczas otrzymamy całkowicie inny obraz. Jak się one potem przedstawią, można się przekonać z jednego przykładu. W dwudziestu latach od 1887 roku do roku 1906 ogólna liczba małżeństw, zawartych w Stanach Zjednoczonych, wynosiła 12,832,044, podczas gdy liczba rozwodów w tym samym okresie czasu dochodzi cyfry 82,264. Świadczy to, że każde 15 lub 16 małżeństwo zawarte musiano rozwieść. Ta liczba dowodzi zbyt jasno o szalonym wzroście plagi rozwodowej. Nie powinna zadzi-



M. Zatorski.

W przystani.

wiać okoliczność, że, w Ameryce dwa razy więcej kobiet żąda rozwodu, niżeli mężczyzn. Statystyka przedstawia także, że prawie trzecia część rozwiedzionych pobiera się powtórnie, a zarazem zestawia skłonność do rozwodów w stosunku do zawodów. Najchętniej się rozwodzącymi są artyści, ale nie o wiele ustępują im muzycy i nauczyciele muzyki. Potem następuje w dalekim odstępie stan kupców podróżujących, którzy przenosząc się z miejsca na miejsce, są narażeni na dużo pokus.

Nie brak jednak stanów, w których rozwody należą do rzadkości. Rozwiedziony marynarz należy do rzadkości — a prawie taką samą rzadkością jest rozwiedziony rzeźnik. Na 73 rozwiedzionych artystów przypada zaledwie 3 mieszkańców wsi; wymowny to dowód wpływu życia na wsi na stałość uczucia i skłonności. Najrzadsze są rozwody pomiędzy pastorami.

Czytamy w piśmie „*Strand*", że w małżeństwie nadchodzą lata krytyczne, w których możliwość rozwodów jest największa. Oto 25 procent rozwodów następuje przed upływem pierwszego roku pożycia małżeńskiego. Jakie rozczarowanie mieści w sobie ta cyfra statystyczna! Po dwu latach pożycia rozwodzi się 38 procent, ale prawdziwie krytyczny czas wszystkich małżeństw zaczyna się po 4 latach małżeństa. W tym też okresie przeprowadzają największą ilość rozwodów.

Po upływie tego okresu skłonność do rozwodów zmiejsza się z roku na rok, schodząc w późnych latach do zera. Jednakże nie brakuje przykładów, że rozwodzono się po 40—50 latach wspólnego pożycia.

Co się tyczy związku samobójstw z rozwodami, to należy je na podstawie statystyki w różnych krajach rozmaicie oceniać. W Ameryce np. liczba samobójstw w szeregach małżeństw jest dwa razy większa, niż wśród rozwiedzionych, a natomiast w Danii samobójstwa rozwiedzionych przekraczają 80-krotnie samobójstwa ze stanu małżeńskiego. Ta niezwykła rozmaitość objaśnia, że rozwody w Ameryce stały się rzeczą codzienną, którą niewiele osób bierze do serca, i że nastrój osób rozwodzących w bardzo wielu wypadkach nie jest wcale niekorzystny. Należy przyjąć, że w Ameryce, jeżeli rozwody będą się mnożyły w sposób dotychczasowy, za lat pięć przeciętnie każda trzecia osoba ze stanu małżeńskiego, albo będzie już rozwiedzona, albo w drodze do rozwodu.

Zupełnie inny jest wpływ rozwodu na osoby rozwodzące się w Europie. Nie tylko w Danii, lecz także w Niemczech, a nawet w Szwajcaryi mnożą się samobójstwa pod wpływem uzyskanego rozwodu. W niektórych krajach niechrześciańskich uzyskanie rozwodu jest o wiele łatwiejsze, niż w krajach chrześciańskich. Do tych pierwszych należą Algier i Formoza. Mohametanin w Agierze może przeprowadzić rozwód przez odrzucenie pożycia małżeńskiego, podczas gdy kobieta musi się o niego starać drogą sądową. Na Formozie kobieta nie może wogóle przeprowadzić rozwodu, a ze strony mężczyzny wystarczy samo zdecydowanie się na rozwód.

Z powyższych cyfr statystycznych wynika, że w Europie pożycie rodzinne stoi naogół wyżej, aniżeli w pozostałych częściach świata.

TO I OWO.

Reforma więzień w Anglii.

Anglia, przodując Europie w reformach społecznych, sanitarnych i innych, znowu pierwsza przystępuje do zasadniczej reformy całego systemu więziennego. Sekretarz stanu urzędu spraw wewnętrznych przygotował dla Izby gmin odpowiedni projekt prawa, które zmieni zupełnie istniejące dotychczas stosunki. Według projektu, ma być w przyszłości zupełnie zniesiony system dozoru policyjnego i zastąpiony agenturą główną, która wspólnie z Tow. dobroczynnemi troszczyć się będzie zarówno o więźniów, odbywających karę, jak o uwolnionych. Przy płaceniu kar pieniężnych oznaczony będzie termin stały; w razie niezapłacenia w terminie ukarani będą mogli uzyskać zwłokę, nie narażając się jak dziś na natychmiastową karę więzienia. Młodzieńcy w wieku 16 do 21 lat, którzy popełnili jakieś wybryki młodzieńcze, nie będą karani grzywną lub więzieniem, lecz skazywani na odbywanie pewnej liczby ćwiczeń fizycznych pod dozorem. Sufrażystki i inni więźniowie, którzy nie popełnili występków przeciw moralności, mogę zatrzymać w więzieniu własne ubrania i korzystać z dostarczonego im przez rodzinę pożywienia. Corocznie ma być urządzana w więzieniach pewna liczba koncertów i odczytów, w celu zapewnienia więźniom strawy duchowej. Osobne przepisy normują stosunki hygieniczne itp.

Ile przepijają Niemcy rocznie?

Z obliczeń niemieckiego urzędu statystycznego dowiadujemy się, że w okresie od r. 1904—1908 wypadało w Niemczech na osobę (wliczając i dzieci, i kobiety, i starców, którzy piją zazwyczaj bardzo mało) rocznie 116,66 l. piwa, 3,86 l. wódki i 5,82 l. wina. Licząc 1 l. piwa średnio po 30 fen., 1 l. wódki po 1 mk. i 1 l. wina także tylko po 1 mk., wypada rocznie na każdego mieszkańca Rzeszy niemieckiej wydatek 35 mk. na piwo, 3 86 mk. na wódkę i 5.82 mk. na wino. W całem państwie wydano zatem w ostatnim czasie — przy 64 milionach ludności — rocznie na wódkę, piwo i wino razem 2859,5 milionów marek, czyli prawie trzy miliardy marek. Wydatki Niemiec na alkohol przewyższają więc przeszło dwukrotnie wydatki roczne na wojsko i marynarkę, są prawie 4 razy tak wielkie, jak suma, wydawana przez państwo

na t. zw. „ubezpieczenia robotników“, a wynoszą 5 razy tyle, co koszt utrzymania wszystkich szkół publicznych w całem państwie. Smutne te stosunki, ale, niestety, i u nas niewiele w tym względzie lepiej, a kto wie, czy nie gorzej. Różne obliczenia określają roczny wydatek narodu naszego na alkohol na 400–600 milionów marek. Na nasze stosunki jest to suma wprost olbrzymia — a z pewnością i u nas wydatki na alkohol są kilkakrotnio większe od wszystkich naszych wydatków na książki, gazety, szkolnictwo i wogóle oświatę!

Na złamanie karku.

W całem znaczeniu „karkołomnemi„ nazwać można popisy w Paryżu akrobatycznej pary: pani Garnier i p. Peyrussona. Niezwykli ci śmiałkowie wpadli na szczególny pomysł, w wysokim stopniu denerwujący widzów. Sadowią się na tandemie, t. j. na welocypedzie dwukołowym dla dwóch, jedna za drugą umieszczonych osób, wjeżdżają całym pędem na rusztowanie, wzniesione tuż nad brzegiem Sekwany i z wysokości 25 metrów, rzucają się do rzeki. Podczas błyskawicznego spadu, zeskakują z tandemu i dają nurka w wodę. Podobno para ryzykownych śmiałków popisywała się przedtem w Ameryce i to niezawsze szczęśliwie. Peyrusson wychodził bez szwanku, lecz towarzyszka jego uległa już kilka razy bolesnym potłuczeniom, nie zdążywszy się dość szybko zsunąć z tandemu i wpadając z nim do wody. Raz nawet maszyna roztrzaskała się o kamieniste dno rzeki, akrobatka zaś cudem prawie ocalała. Katastrofy jednak nie zraziły jej, wciąż się naraża, nie zważając na perswazye życzliwych. Milszy jej grosz, niż życie.

DLA ROZRYWKI

Gry towarzyskie.

Odgadnąć oczka kostek.

Ktoś rzuca jedną kostkę. Każ mu liczbę ócz, znajdujących się na wierzchu, pomnożyć przez 2, dodać 5, pomnożyć przez 5, i sumę pozostałą niech powie. Od sumy tej odciągnij 25, a zero skreśl.

Przykład: Na wierzchu kostki znajdują się 3 oczy. $3 \times 2 = 6 + 5 = 11 \times 5 = 55 - 25 = 30$; skreśl zero, a pozostanie 3.

Rzuci ktoś 2 kostki, wtenczas każ mu pomnożyć liczbę na wierzchu jednej kostki przez 2, dodać 5, pomnożyć przez 5, dodać liczbę drugiej kostki, niech sumę powie; od sumy tej odciągnij 25, pozostała liczba zawierać będzie obydwie liczby kostek.

Przykład: Dajmy na to, że liczba na jednej kostce wynosi 3, na drugiej 5 Liczmy: $3 \times 2 = 6 + 5 = 11 \times 5 = 55 + 5 = 60$ (które liczący głośno powiedzieć powinien) — $25 = 35$ czyli 3 i 5.

Rzuci ktoś trzy kostki, natenczas każ pomnożyć wierzchnią liczbę pierwszej kostki po lewej stronie przez 2, dodać 5, pomnożyć przez 5, dodać wierzchnią liczbę drugiej kostki (środkowej), pomnożyć przez 10, dodać wierzchnią liczbę trzeciej kostki, sumę niech powie, odciągnij od sumy tej 250. Rezultat zawierać będzie trzy wierzchnie liczby trzech kostek.

Przykład: Przypuśćmy, że wierzchnia liczba pierwszej kostki wynosi 3, drugiej 6, trzeciej 2, Liczmy: $3 \times 2 = 6 + 5 = 11 \times 5 = 55 + 6$ (liczba drugiej kostki) $= 61 \times 10 = 610 + 2$ (liczba trzeciej kostki) $= 612$ (którą to sumę liczący głośno wymienić powinien), odciągnij 250, pozostanie 362 czyli 3, 6 i 2.

Podróż.

Magik rozdaje obecnym papier, koperty i ołówki, z prośbą, ażeby każdy napisał na kartce nazwę jakiego miasta i kartkę zapieczętował w kopercie. Następnie zbiera koperty i oświadcza, że odczyta ich zawartość jedynie za pomocą dotyku. Koperty tasuje w oczach widzów, ale nieznacznie dołącza do nich jeszcze jedną kopertę z nazwą

jakiego miasta, którą sam napisał. Tę kopertę, niczem nie różniącą się od innych, umieszcza na spodzie kupki, a biorąc pierwszą kopertę z wierzchu, wymienia nazwę tego miasta, które sobie sam obrał. „Lwów!“ — woła i w tej chwili, jakby dla przekonania się, rozrywa kopertę z wierzchu, a chociaż wyczytał w niej „Berlin“, powiada: tak, Lwów! Otwierając drugą kopertę, mówi Berlin, i tak ciągle wymienia nazwę miasta poprzednio odczytanego, gdy więc nareszcie otworzy swoją kopertę, będzie wiedział wszystkie nazwy. Nazwy te spisywać powinien ktoś z uproszonych gości dla kontroli. Po odczytaniu spisu, obecni przyznają, że istotnie magik odgadł obrane przez nich miasta za pomocą dotyku.

Łamigłówki.

Metagram.

(ułożony przez Wacława Króla z Saratowa).

Przez c, nazwisko polskiego kanclerza,
„ d, jest rzeką w ojczyźnie papieża
„ n, to bóg jest przez Greków wielbiony;
„ s, jest między stroje policzony,
„ l, wymiarem był okrutnej kary,
„ u, to kraj jest w królestwie Nawarry,
„ w, ptak piękny, lecz śpiewać nie może,
„ ź, zaś bywa na królewskim dworze.

Kwadrat magiczny.

W poniższym kwadracie poustawiać liczby 1—9 tak, aby w każdym rzędzie pionowym, poprzecznym i przekątnym suma równała się 15.

1	2	3
4	5	6
7	8	9

Dokładne rozwiązania łamigłówek prosimy nadsyłać najpóźniej do 18. sierpnia na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 35.

Rozwiązania

łamigłówek zamieszczonych w nr. 31.:

Łamigłówka kryształowa.

				R				
			R	**A**	K			
		M	U	**C**	H	A		
	Z	A	G	**Ł**	O	B	A	
R	**A**	**C**	**Ł**	**A**	**W**	**I**	**C**	**E**
	J	A	D	**W**	I	G	A	
		H	A	**I**	T	I		
			A	**C**	H			
				E				

Szarada: Cie — lak.

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Konstanty Cag, Michał Chciuk, Justyn Cholewik, Marya Dunicz, Zygmunt Gaudnik, Edmund Gibisz, Roman Łazarewicz, Franciszek Kądziela, E. Kamiński, Ignacy Kędzierski, Julian Krzysztofowicz, Helena Myconiówna, Tadeusz Nodzyński, Alina Panasiewiczówna, Stanisław Rogowski, Józefa Steindl, Piotr Stolarzewicz, Eliasz Schmukler, Franciszek Szmater, Stanisław Szostak, Anna Wełnianka.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

pp. Józef Bilski, Wanda Bocheńska, Tomysława Czabajska, F. Giersbergowa, „Janek z pod Góry Przemysława“, Franciszek Kempski, Zofia Knowska, Leszek Kwieciński, Prakseda Malinowska, Stanisław Markowiak, Bogumiła Miśkiewicz, Leokadya Przewoźniak, Zofia Przybyszewska, Zofia Stachowska, Zofia Starkówna, Jan Strugarek, Zofia Wachowska, Józia Wesołowska.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Hieronim Jaworowski z Drezna, Wawrzyniec Rapiór z Oberhausen (Nadrenia), Emilia Świątkowska z Monachium, Ludwik Szymanowski z Kray (Nadrenia), Józef Zarzycki z Turynu (Włochy).

Nagrodę otrzymali:

pp. Justyn Cholewik (Małe Kończyce), Julian Krzysztofowicz (Chodorów), Zofia Stachowska (Grodzisk), Zofia Wachowska (Niechanowo p. Gniezno).

Maurice Leblanc.

Arseniusz Lupin,

wytworny włamywacz.

Przekład **J. P.**

(Dokończenie).

— Tak powtórzył Floriani, wpadając w ton hrabiego — i wziąć go bez najmniejszej dla siebie przykrości, tak, że nikomu na myśl nie przyszło, obejrzeć okna ani się zdziwić, że gzyms jest zbyt czysty... dzieciak starł przedtem grubą warstwę kurzu, by nie pozostawić śladów. Przyznaj pan, że podobne powodzenie mogło chłopakowi zawrócić głowę. Więc to raecz tak łatwa? Wystarcza tylko chcieć i wyciągnąć rękę?.. A on chciał...

— I rękę wyciągnął?

— Obie ręce — odparł kawaler ze śmiechem.

Słuchaczy przebiegł dresz. Jaką tajemnicę ukrywał mniemany Floriani? Jakże niezwykłem musiało być życie tego awanturnika, który już w szóstym roku był genialnym złodziejem, a dzisiaj przez wyrafinowany dyletantyzm, żądzą wrażen, lub może chęć zaspokojenia dawnej urazy, przychodzi urągać ofierze w jej własnym domu, urągać zuchwale, szalenie, lecz z całą kurtuazyą gentlemana.

Powstał i zbliżył się do hrabiny, by ją pożegnać. Chciała się cofnąć, zapanowała jednak nad swym odruchem. Uśmiechnął się.

— Pani się boi? Czyżbym salonową komedyjkę posunął za daleko?

— Bynajmniej panie. Legenda o dobrym synu zainteresowała mię ogromnie... jestem nawet szczęśliwa, że mój naszyjnik przyczynił się do stworzenia tak świetnego losu. Tylko, czy nie zdaje się panu, że syn tej kobiety, tej Henryki, zawsze był posłuszny swemu powołaniu?

Drgnął, czując ukłócie. Odciął się.

— Jestem tego pewny, nawet myślę, że powołanie musiało być prawdziwe, jeżeli dzieciak się nie zraził.

— Co to znaczy?

— Wiadomo pani zapewne, że kamienie z wyjątkiem kilku brylantów, odkupionych od jubilera angielskiego — były fałszywe. Inne zostały sprzedane kolejno, stosownie do twardych konieczności życia...

— Zawsze jednak był to naszyjnik królowej — odparła hrabina wyniośle — i tego, zdaje się, syn Henryki zrozumieć nie mógł.

— Musiał zrozumieć, że fałszywy, czy prawdziwy — mniejsza o to — naszyjnik był zawsze przedmiotem na pokaz, niejako szyldem.

Pan de Dreux poruszył się lekko. Żona go uprzedziła.

— Panie — rzekła — jeżeli człowiek, o którym mówimy, ma chociażby najlżejsze poczucie wstydu...

Urwała, onieśmielona spokojem Floriani'ego.

Powtórzył:

— Jeżeli ten człowiek ma najlżejsze poczucie wstydu...

Zrozumiała, że przemawiając dalej w tym tonie, nie zyska nic. Pomimo więc gniewu, po mimo obrazy, drżąca od dumy upokorzonej, odezwała się nieomal grzecznie:

— Panie, legenda mówi, że gdy Rétaux de Villette dostał w swe ręce naszyjnik królowej i przy pomocy Joanny de Valais, wyjął zeń wszystkie brylanty, nie śmiał tknąć oprawy. Zrozumiał, że brylanty były tylko ozdobą drugorzędną... a główną rzecz stanowiła oprawa, dzieło artystyczne. Dlatego ju uszanował. Czy pan przypuszcza, że i syn Henryki postąpił tak samo?

— Nie wątpię, że oprawa istnieje. Dzieciak ją uszanował.

— W takim razie, jeżeli kiedykolwiek w życiu pan się z nim spotka, powie mu pan, że niesłusznie czyni, zatrzymując u siebie jedną z tych relikwii, stanowiących własność i chwałę starożytnych rodów; że mógł zabrać wszystkie kamienie, a pomimo to naszyjnik nie przestał należeć do rodziny de Dreux-Soubise, podobnie, jak nazwisko i nasz honor.

Kawaler odparł z prostotą:

— Powiem mu to pani.

Złożył jej ukłon głęboki, pożegnał hrabiego i wszystkich gości.

Poczem opuścił salon.

* * *

W cztery dni później gani de Dreux znalazła na swym stole puzderko, obite czerwoną skórą z herbem kardynała. Otworzyła je. Był to naszyjnik królowej.

Ale ponieważ w życiu człowieka logicznego wszystko zmierza do jednego celu — a odrobina reklamy nie szkodzi nigdy — nazajutrz w Echo de France, pojawiła się wzmianka następująca:

„Naszyjnik królowej, sławny klejnot historyczny — skradziony niegdyś rodzinie de Dreux-Soubise, odnalazł Arseniusz Lupin i zwrócił go niezwłocznie prawym właścicielom. Można przyklasnąć jedynie czynowi tak rycerskiemu, takiej delikatności uczuć".

KONIEC.

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

WRZOS

POWIEŚĆ.

NR 33

(Ciąg dalszy).

— Znam, bardzo zdolny i pracowity. Mieszka w wagonie, w domu jest gościem, nie bywa nigdzie, robi miliony! Zresztą gentleman sztywny, małomówny, zimny! Wracajmy. Jaki tu chłód od wody!

Kazia stała nad kanałem, zapatrzona w migocącą toń. Zapomniała o Ramszycowej i rzeczywistości, miała złudzenie swej wsi, przestworza wolnego i wolnego życia. Drgnęła przestraszona, rozejrzała się i poszła szybko w stronę pałacu. Prawda, wieczór już był, i chłód poczuła w dreszczu.

Na werandzie Dąbska bawiła się w najlepsze; pełno było osób, jedzono i pito.

— Wiesz — szepnęła półgłosem — przysięgnę, że w gabinecie jest Lolo Szmurski; poznałam jego śmiech; ale z kim, mój Boże, z kim? Będę tu nocowała, żeby się dowiedzieć.

— Cóż cię obchodzi jakiś Szmurski? — odparła obojętnie Kazia.

— Nie wiesz? On jest po słowie z cioteczną siostrą doktorowej Downarowej. Łapali go przez trzy kwartały, teraz tryumfują!

— Więc co? nie rozumiem jeszcze bardziej, co cię obchodzi narzeczony ciotecznej siostry jakiejś doktorowej. Czy ona ci krewną?

— Ta jędza! Jeszcze może co? Alebym im dopiekła — możeby zerwali!

— Pani Marto — troszczysz się i frasujesz o bardzo wielu! — rzekł sentencyonalnie Radlicz.

— Idź pan — dowiedz się, kto tam jest z Lolem.

— A co ja za to dostanę?

— Obiecam panu, co pan chce.

— Obiecam! — gwizdnął. — Anim taki młody, anim taki stary, aby mnie obietnice nasyciły.

— Cyniku!

— Do usług! — odparł z ukłonem.

— Julku! — zawołała pani Tunia męża.

Obejrzał się, ale kończył rozmowę z Andrzejem.

— Ostatecznie tak, jak rzeczy stoją, vadium złożyć trzeba i rudera zwali mu się na łeb. Ano, nie chciał mi wierzyć! Co ci trzeba? — spytał żony.

— Lolo Szmurski jest tam w gabinecie — wiesz?

— Może być.

— Ale z kim, możeby się dowiedzieć?

— Zapewne z Kosecką! — odparł Andrzej.

— Jakto? Jeszcze z nią nie zerwał? Ohydne. One są pewne, że to skończone!

Andrzej ramionami ruszył.

— Jeśli są pewne, to i dobrze. O co więcej chodzi?

— Ach! żebym ja była pewna! Julku, dowiedz się.

— Ani mi w głowie! — i dalej mówił z Andrzejem.

Radlicz parsknął śmiechem.

— Ja wiem, ale nie powiem!

— Kaziu, każ mu powiedzieć!

— Ja? — Kazia spojrzała zdumiona. — Co mnie to może obchodzić, a nawet, gdyby obchodziło, tobym nie spytała.

— No, no, żeby tak twój wybrany walał się po gabinetach restauracyjnych z baletnicami, nie byłabyś taka wielka!

Kazia zarumieniła się.

— Nie jestem wielka, tylko — zacięła się — tylko, albo jestem pewna, więc nie podejrzywam, ani szpieguję, albo nie wierzę — i wtedy nie dbam!

— Wracamy! — odezwał się prezes.

Powstał ruch. Dąbska zajrzała przez okno do gabinetu, ale firanki były dyskretne. Poczęto się żegnać, siadać do powozów.

Gdy lando Sanickich ruszyło, Radlicz się roześmiał z cicha:

— Tyś strzelił tą Kosecką! — szepnął do Andrzeja. — Myślałem, że Markhama szlag zabije

— Te panny codzień subtelniejsze! — wtrącił prezes.

Zaczęli mówić o innych znajomych, Kazia rozglądała się po niebie i ziemi. Miała ochotę usunąć woalkę, zdjąć kapelusz, dać głowę i twarz pod rzeźwy powiew wieczoru, nie słuchała rozmowy.

Powóz toczył się po szosie, cisza i tchnienie wsi umykało wstecz, coraz gęściej były domostwa, coraz gęściej ognie podmiejskich ogródków. Jak potwór, w dali leżało miasto, wstawała nad niem łuna światła, a te tancbudy, bawarye, restauracye były jak macki potworu, które wyciągał ku wsi, by ją pożreć, zbrudzić, zkazić, zatruć ciszę i spokój hulaszczą melodyą i gorączkowem, niezdrowem podnieceniem.

— O czem pani myśli? — spytał nagle Radlicz.

On się w nią oddawna wpatrywał, coraz bardziej oczarowany.

— O czem? — powtórzyła zamyślona. — Mam wrażenie, że tam przedemną czeluść piekielna.

— Warszawa? Boi się jej pani?

— Nie, ale mam wstręt! — szepnęła.

— Jeszcze ją pani pokocha z czasem.

— Uśmiechnęła się dziwnie.

— Będzie pani jutro rano w alejach, konno?

— Będę!

— Wolno pani towarzyszyć?

Coś było w jego głosie, że spojrzała mu w oczy.

— Czemu nie! — odparła spokojnie.

— Układacie najbezczelniej schadzkę! — rzekł prezes. — Otóż ja kładę veto. Bardzo cię lubię, Radlicz, ale twoje towarzystwo zbyt kompromituje każdą kobietę.

— Jak Boga kocham, nie każdą!

— No, no, to tylko dowód, że Boga nie kochasz. Moje dziecko, to dobry chłopak, ale nawet szanująca się kokota z nim się nie pokazuje, taką ma bestya zdartą opinię i taki zły język. Mówię ci to w oczy, Radlicz, nie kuś się nią, bo ani jej zdobędziesz, ani jej nie obmówisz.

— Amen! — zakończył śmiechem malarz.

Byli już w mieście. Kazia spojrzała w przejeździe na pałacyk Ramszyców. Parę okien tylko było oświetlonych. Pomyślała z otuchą, że jutro zacznie pracować i poweselała. Po chwili stanęli w domu.

— Mam jeszcze interes na mieście! — rzekł Andrzej.

— I ja usuwam swą sponiewieraną osobę! — dorzucił Radlicz wesoło.

Pożegnali się u bramy i młodzi ludzie poszli razem dalej.

— Na Erywańską? — spytał Radlicz.

— Uhm! — mruknął Andrzej.

— Wstąpię i ja zobaczyć, jak cię powitają!

U pani Celiny, jak zwykle, było wesoło i swobodnie.

Pani Bella śpiewała kuplety i na ich widok zaintonowała:

„Andreas noch in Baenden frei!“

Andrzej się zmarszczył. Koncept mu się nie podobał, powitał gospodynię domu i zbliżył się do fortepianu.

— Bohatersko pani nastrojona! — rzekł — może „Wacht am Rhein!“ potem, lub „Marsyliankę“. Witam!

Popatrzał na nią tak, że wesoła kobieta straciła rezon na chwilę; on dalej witał resztę towarzystwa.

Pani Bella zaczepiła Radlicza:

— Co mu jest? Wściekły! — szepnęła.

— Po co mu pani nadeptuje na odciski!

— Cóż, ta żona?

— Ano, widziała ją pani na dworcu.

— Phi, nic nie mówi, i nie ładna.

— Nie, nie ładna, bo śliczna!

— Żarty, czy to dzisiejsza flamma? Byliście w Wilanowie? — mówiła Cesia.

— Chciałbym z nią być w raju.

— Radlicz, przebrany za trubadura! Pyszne! — parsknęła śmiechem. — Wiesz co, zbałamuć ją. Celina ci będzie wdzięczna.

— Takich się nie bałamuci; zresztą Andrzej prędzej dostanie dymisyę tutaj, niż się tego spodziewa.

— Co ty za wzrok masz! Przed tobą nie chciałabym ukrywać nic!

— Dziękuję, umiem to ocenić.

— Bardzo mi przyjemnie. Co do twych obserwacyi więcej się domyślasz, niż jest dotychczas. Un peu de flirt par dépit!

— Wszelka rzecz zaczyna się od początku!

— Co takiego? — ozwał się za nimi głos pani Celiny.

— Wszystko. Kwiat od korzenia, czyn od myśli, zdrada od przesytu.

— Myli się pan w tem ostatniem; zdrada od miłości.

— Dla drugiego?

Uśmiechnęła się zagadkowo i poszła dalej.

Radlicz się obejrzał po towarzystwie i rzekł:

— Zatem Maks już nie bywa zupełnie? Un, deux, trois — capitaine et roi!

— Ba, po co się żenił! — ruszyła ramionami.

— Co mi pani za melodramat opowiada. To się już ciągnie od pół roku. Znajduję, że był wielki czas skończyć tamto. Nie znam nic bardziej poniżającego człowieka, jak miłość dłuższa nad pół roku, a ten romans trwa pięć lat. Wielkie nieba, nie każcie mnie za moje grzechy niczem podobnem!

— Niema obawy! Myślę, że pan na tygodnie nigdy nie rachował.

— Owszem, ale zastawy w lombardzie; miłości, nie! Albo brakuje kobiet!

— Albo czy kobiety traktują pana na seryo!

— Niech będą za to błogosławione, od pani począwszy!

Dano hasło do kolacyi. Radlicz podał jej ramię.

— Czy to recydywa? — spytała ze śmiechem.

— Nie, ale przy pani mogę myśleć o innej. To tylko wyrachowanie!

— No, no — to już za wiele szczerości! — obraziła się, cofając rękę.

— Woli pani recydywę? Służę! — odparł, patrząc na nią oczami Satyra.

Żachnęła się.

— J'ai failli vous predre au serieux! — odcięła, i poszli razem.

— A ta ostatnia? Jaka? — spytała u stołu.

— Z nikim nigdy nie mówię o ostatniej, tylko z nią samą. Tem się różni od swych poprzedniczek.

— A zatem odpowie mi pan za tydzień.

— Zapewne... może pojutrze!

Szydercza jego maska była niezbadana. Przez cały ciąg kolacyi dowcipy jego latały z końca w koniec stołu, wzbudzając śmiechy lub oburzenie. Gdy towarzystwo przeszło do salonu, pani Bella po chwili zamieszania poszukała go oczyma — napróżno.

Zniknął, z nikim się nie żegnając. Korzystał z praw człowieka, którego nikt nie brał na seryo.

Gwiżdżąc, z rękoma w kieszeniach, krokiem człowieka, który się do niczego nie śpieszy, wyszedł i ruszył ku domowi.

Mijając kamienicę Sanickich, spojrzał w górę, przestał na chwilę gwizdać, zwolnił kroku. Potem mruknął coś, jakby dorożkarskie przekleństwo, splunął i znowu gwizdał.

Tak zaszedł do domu, zapalił lampę w swej pracowni, usiadł przy stole, i na leżący arkusz papieru rzucił szkic kobiecej głowy.

III.

Nazajutrz stary Sanicki, przyszedłszy na obiad, zastał Kazię rozpromienioną. Układała kwiaty na stole i poczęła mu opowiadać wesoło:

— Będzie miał ojciec teraz spokój ze mną. Znalazłam zajęcie. Ach, jaka ona sympatyczna ta Ramszycowa, co za energia i siła. Nie będę próżnowała! Jakie szczęście! Od jedenastej do trzeciej codzień będziem pracowały!

— Cóż, Radlicza nie spotkałaś na spacerze?

— Nie. On ani myślał o tem!

— No, no! Ostrożnie!

— Z czem? — zaśmiała się.

— Zanadto się zaczynasz podobać!

— Ja? Mnie nikt! — odparła, ruszając ramionami. — Oprócz ojca, naturalnie — dodała pokazując ząbki w uśmiechu. — O! ojca to muszę zbałamucić koniecznie!

Spojrzała nań serdecznie, i nagle twarz jej jakby zastygła, promień w oczach zgasł, cofnęła

się, rzuciła wzrokiem na stół, i pocisnęła elektryczny dzwonek.

— Józefie, obiad! — rozkazała służącemu.

Andrzej wszedł do pokoju...

* * *

Codzień rano, gdy dom jeszcze spał, Kazia chodziła na mszę do św. Krzyża, i codzień spotykała na schodach barczystego, szpakowatego mężczyznę, który jej się grzecznie z drogi usuwał, schodził za nią aż do bramy, tam wsiadał w pierwszą lepszą dorożkę i ginął jej z oczu. Tak regularnie codzień były te spotkania, że go znała doskonale, i wreszcie raz przy śniadaniu spytała teścia:

— Kto to jest ten gruby pan, co go widuję co dzień rano na schodach? Mieszka nad nami.

— Taki z brodą — to doktor Downar zapewne.

— Ten sławny?

— A ten.

— Tak niepocześnie wygląda!

— Rano się od żony wynosi! — ozwał się Andrzej, nie podnosząc od gazety oczu.

— A to się dobrali! — uśmiechnął się prezes.

— Po co się żenił, osieł! — mruknął Andrzej.

— Ma złą żonę? — spytała Kazia teścia, jakby nie słyszała uwagi męża.

— Jędza baba, skąpa, chciwa; cierpieć jej nie mogę. Downar sam to zacności człowiek, no i powaga naukowa, genialny chirurg i dyagnostyk. Zresztą jeden z tych rzadkich, którzy nie dla chleba i karyery, ale z powołania i zamiłowania leczą. Gdyby nie żona, byłby w nędzy, ale szczęśliwy, że ją ma, więc są bogaci, ale on osiwiał, choć ma ledwie lat czterdzieści. Trzeba, żebyście do nich poszli z wizytą, jak się raz na to zbierzecie.

— Nic pilnego! — mruknął Andrzej, wstając i wyszedł.

— Ten się z dniem każdym robi nieznośniejszym — wybuchnął stary Sanicki. — Będę musiał się z nim na seryo rozmówić.

— Tatku, nie gniewać się! — skoczyła do niego i objęła pieszczotliwie za głowę. — Trzeba mu wybaczyć, nie wymagać nic, nie uważać na humory. Z czasem się uspokoi, musi mieć jakieś zmartwienie, a tatko wie, że mu w domu nie miło! Niechże ma spokój chociażby.

— Ależ on co słowo tobie ubliża! Ja tego nie ścierpię!

— Ale ja ścierpię. Uczciwie mnie uprzedził, co mnie czeka w pożyciu; jeślim pomimo to wyszła za niego, moja rzecz jest przystosować się do warunków. — Doprawdy, tatko, mnie to nie boli już nawet. Byle był inny, gdy nas kiedy ojciec mój odwiedzi, to żadnego żalu mieć nie będę. Niech się tatko tem nie irytuje: są gorsze położenia i domowe stosunki; ja sama cięższe przeszłam. Nigdy, nigdy narzekać nie będę. Mam pracę teraz, i tatko mnie kocha — prawda? No to i dobrze!

Ucałowała go w czoło, a stary rozczulony, patrzał na nią serdecznie i już się uśmiechał.

— Osieł jest, głupiec, ślepiec! Mieć takie śliczne stworzenie swoje i latać za starą awanturnicą — mruczał. — Bóg mu za karę rozum odebrał! Moje śliczne dziecko, córuchno kochana, możebyś chciała gdzieś pojechać, zabawić się, rozerwać? A może, dziecko chce co kupić, nigdy nie wspomina o groszach. Może ci mało trzysta rubli miesięcznie — powiedz?

— Tatko żartuje, a toć mi na dwa wystarczy, a chyba źle was nie żywię. Nawet pan Andrzej nie zrobił o to sceny.

— Ależ dogadzasz i nawet psujesz. Dawniej uciekałem od obiadów w domu, a teraz nawet na proszone występy nie rad chodzę. A tej służby, która mi truła życie, teraz jakby nie było; ani ich słychać. W innych familijnych domach panie wiecznie narzekają na kucharki i lokajów, panowie na szalone wydatki, a u nas o tem nigdy mowy niema. Ty mi dom rajem zrobiłaś, ty jesteś czarodziejka.

— A bo ja, tatko, stanęłam tu do moich obowiązków przygotowana. Wiem, co do mnie należy, byłam u ojca w dobrej szkole. Tutaj, to żadna robota, w porównaniu z tą, u nas, na wsi! Przez myśl by mi nie przeszło zajmować was, mężczyzn, pracujących i myślących na szerszem polu, drobiazgami domowego gospodarstwa. Dom musi dla was być odpoczynkiem w spokoju, jeżeli nie może być szczęściem i weselem. A żeście mi powierzyli zarząd tego domu, więc przez samą ambicyę muszę zarządzać tak, aby nic nie zgrzytało w tej maszyneryi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

Tadeusz otarł łzę, przypomniały mu się — Moraczewszczyzna, Siechnowicze...

— Dawno — rzekł — dawno nie kosztowałem takiej rozkoszy — to godło Chrystusa spoiło nas jak rodzinę. Ze wszystkich polskich obrzędów i uczt to najpiękniejsza, to najuroczystsza, to najwięcej mówiąca do duszy.

— Bo też to dzień narodzenia Tego — rzekł Pułaski — który skruszył kajdany niewoli świata.

Łamali się opłatkiem, patrząc niedowierzająco, na tę dawno niewidzianą kraju pamiątkę...

Z rozweselonem czołem zasiedli do stołu. Niestety! murzyn barszczu z uszkami zrobić nie umiał... Zastępowała go polewka.

Inne potrawy, jeśli nie miały smaku naszych, przypominały je przynajmniej z twarzy, murzyn ów (przezwany Mandarynem) czego nie mógł dobrze wyrozumieć, w to kładł jak najwięcej pieprzu, który w jego przekonaniu, zdolnym był zastąpić wszystko i omamić podniebienie. Ryby wszakże z szafranem, po żydowsku z patatami, i smażone z kapustą palmową wybornie się udały.

Dobyto parę butelek, nie było to owe Hungaricum... Cracovine educatum, ale stare Malaga, Xeres i wina krajowe... Po kilku kieliszkach rozmowa się ożywiła i z toru smętnego przeszła w ową wesołość polską, co nikogo nie kąsa a każdego zabawić umie. —

Chwilami jeszcze zadumał się z nich który, ale spieszył posłać dumę za morza... Sypnęły się anegdoty przywiezione z Polski, w które ona obfitowała po wsze czasy; co to je z taką serdecznością, zawiesisto, z miną, a akcentem, deklamacyą właściwą, tradycyonalną opowiadać umiano.

Dziś — nie ma już tych gawędziarzy z profesyi, którzy choćby sto razy powtarzali jedno, zawsze słuchano ich mile; co gdy weszli do izby, już się wszystkie rozchmurzały oblicza; co mieli koncept na wszelką przygodę, komplement w każdym wypadku, a w potrzebie i toast do kielicha, i ucinek gładkim wierszem na imieniny.

Pułaski nie był wesół, ale Rogowski w tem celował, a jako ekskonfederat miał anegdot obfite zapasy. On to ożywiał towarzystwo i wziął na siebie utrzymanie dobrego humoru. Dokazał tego, że pod koniec uczty, twarze i serca się śmiały.

Mandaryn tymczasem biegał z coraz nowemi półmiskami, a zakończył deserem obfitym, rad, że nareszcie sam do jadła i obiecanego rumu dopadnie.

Każdy z gości wsunął mu coś w rękę, stary śmiał się, kładząc dłoń na piersiach, szwargotał coś, ale chyba wielki Duch jego ojczyzny go rozumiał.

Biesiadnicy pozostali przy tym stole długo w noc, pito nie wiele, po woli, ale mówiono dużo.

Późno już ktoś przypomniał obyczaj wilii naszej, wyciągania z pod obrusa siana; miało to podobno znaczenie, iż kto najdłuższą trawę wysunął, u tego najpiękniejszy len miał obrodzić.

— Ale z nas żaden ani lnu, ani żadnej rzeczy, która jego jest, nie sieje, rzekł Pułaski. —

— Siejemy trud i krew — zawołał Kościuszko — a co z nich wyrośnie — Bóg wie. —

— Ciągnijmy więc — dodał śmiejąc się Pułaski — i będziemy sobie z tych roślin nowego świata prorokowali o żniwie.

W tym sianie z Delawary i Sapping, były, prawdę rzekłszy, przeróżne rośliny, nie wszystkie do trawistej rodziny należące. Każdy rękę włożył pod obrus a co pochwycił, wyciągnął i podniósł do góry.

Pułaskiemu dostał się kwiat jakiś nieznany, zeschły już, na którego łodydze para tylko listków zieleńszych została.

Ciąg dalszy nastąpi).

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

On to był na prawdę. Skoro spostrzegł Maurycego, natychmiast z otwartemi ramiony podbiegł ku niemu.

— Przecież cię nareszcie znajduję — zawołał Lorin. — Do licha! nie tak to łatwo spotkać się teraz z tobą.

Lecz kiedy znajduję wiernego przyjaciela,
Czuję żem szczęśliw jak w dniu wesela.

— Cóż ty tu robisz z patrolem? — spytał wszystkiem niepokojony Maurycy.

— Jestem dowódzcą wyprawy, przyjacielu, musimy postawić na dawnej stopie naszą zachwianą sławę.

I obróciwszy się do swej kompanii zakomenderował:

— Na ramię broń! Prezentuj broń! Do nogi broń! Teraz moje dzieci! jeszcze nie dosyć ciemno. Pomówcie o swoich interesach, a my pomówimy o naszych.

A potem wracając do Maurycego dodał:

— Dziś w sekcyi usłyszałem trzy ważne wiadomości.

— Jakie?

— Pierwsza, że ciebie i mnie zaczynają mieć w podejrzeniu.

— Wiem o tem. Cóż więcej.

— Ah! wiesz?

— Tak jest.

— Druga, że całym spiskiem dotyczącym goździka, kierował kawaler de Maison-Rouge.

— I to wiem również.

— Ale to zapewne nie wiesz, że spisek dotyczący pąsowego goździka i spisek dotyczący posiedzenia, stanowił jednę całość.

— Owszem, i to wiem.

— A więc przejdźmy do trzeciej wiadomości. Tej, pewny jestem, że ci nikt jeszcze nie udzielił. Dziś wieczór mamy schwytać kawalera de Maison-Rouge.

— Schwytać kawalera de Maison-Rouge?

— A tak.

— Zostałeś więc żandarmem?

— Nie, ale jestem prawym Francuzem i dla dobra mego kraju wszystko poświęcić winienem. Kawaler de Maison-Rouge dręczy Francyą, spiskiem po spisku; mnie zatem, prawemu synowi swojemu Francya nakazuje, abym uwolnił ją od wspomnianego kawalera de Maison-Rouge, który jej okropnie dokucza, a ja jestem posłuszny Francyi.

— To na jedno wychodzi — odrzekł Maurycy — szczególna rzecz, że się podejmujesz podobnych zleceń.

— Jam się tego zlecenia nie podjął, ale mi je narzucono; zresztą wyznać winienem, żem się o nie ubiegał. Dla odzyskania naszej sławy potrzeba świetnego czynu, ponieważ to odzyskanie zapewnia nam nietylko własne bezpieczeństwo, ale nadto nada prawo wpakowania przy pierwszem lepszem zdarzeniu, sześciu cali szpady w wnętrzności tego niegodziwca Simona.

— I skądże się dowiedziano, że kawaler de Maison-Rouge stał na czele spisku w podziemiu?

— Jeszcze to niepewna wiadomość, ale tak przypuszczają.

— Aha! zasadzacie się więc na domysłach?

— Owszem, zasadzamy się na przekonaniu.

— Powiedz że nakoniec, jak to wszystko pogodzić?...

— Posłuchaj.

— Słucham.

— Zaledwiem usłyszał jak wołano: Wielki spisek odkryty przez obywatela Simon... bo ten łotr! ten niegodziwiec Simon! wszędzie się znaleść musi! — sam zamierzyłem przekonać się o prawdzie. Jakoż mówiono o podziemiu.

— I to podziemie istnieje?

— O! istnieje, widziałem je.

A widziałem na oba oczy,
Co się nazywa, widziałem...

— No i dlaczegóż nie gwiżdżesz?

— Przytem przyznam ci się, że okoliczność jest zbyt ważna, iżby z niej żartować wypadało.

— Z czegóż więc żartować będziemy, jeżeli nie z ważnych rzeczy?

— Powiadasz więc, że widziałeś..

— Podziemie. — Tak, powtarzam, żem je widział, żem je przebiegł, że styka się z piwnicą obywatelki Plumeau i domem przy ulicy de la Corderie, mającym nr. 12 czy 14 bo już tego nie pomnę.

— Doprawdy przebiegałeś je Lorinie?

— W całej jego długości, i na honor zapewniam cię, że było to doskonale wyżłobione przejście; co większa, przecinały je trzy żelazne kraty, które trzeba było jedną po drugiej wyłamywać, ale które w przypadku szczęśliwego powodzenia spiskowych, dozwoliłyby im przeprowadzić panią wdowę Kapet w bezpieczne miejsce, chociażby nawet postradali kilku swoich. Los chciał, aby się inaczej stało, ale i to jeszcze odkrył ten niegodziwy Simon.

— Ja sądzę — powiedział Maurycy — że najpierwej należało aresztować mieszkańców przy ulicy de la Corderie.

— Nie zaniedbanoby zapewne uczynić tego gdyby w tym domu znaleziono choć jedną żywą duszę.

— Ale przecież ten dom musiał do kogoś należeć?

— Tak, należał on do nowego właściciela, którego nikt nie znał; dowiedziano się tylko, że ten właściciel nabył go przed dwoma czy trzema tygodniami. Sąsiedzi słyszeli tam wprawdzie jakiś łoskot, ale że to stary dom, mniemali więc, iż go naprawiano. Dawniejszy zaś właściciel wyjechał z Paryża.

Właśnie na to wszystko tam nadszedłem.

— Dla Boga! — rzekłem do Santerr'a wziąwszy go na stronę — jak widzę, wszyscy jesteście mocno zakłopotani.

— Prawda — odpowiedział.

— Wszak ten dom sprzedano?

— Tak jest.

— Dwa tygodnie temu?

— Dwa czy trzy.

— Sprzedano przed notaryuszem?

— Tak.

— A więc! potrzeba odbyć rewizyą u wszystkich paryskich notaryuszów, dowiedzieć się, który z nich był obecny sprzedaży, i kazać sobie zakomunikować jej akt, w którym znajdzie się zapewne nazwisko i miejsce pobytu nabywcy.

— Otóż to mi co się nazywa dobra rada! — rzekł Santerre — a jednakże podaje ją człowiek obwiniony o obojętność. — Lorinie, Lorinie! ja ci przywrócę dawną opinię, albo mię dyabli porwą!

— Słowem! — mówił dalej Lorin — co powiedziano to i uczyniono. Znaleziono notaryusza, znaleziono akt sprzedaży, a w nim nazwisko i miejsce pobytu winnego. Wówczas Santerre dotrzymał słowa i polecił mi aresztowanie go.

— I człowiekiem tym był kawaler de Maison-Rouge?

— Nie, ale tylko jego wspólnik, to jest, tak się zdaje.

— A dlaczego mówisz, że idziecie aresztować kawalera de Maison-Rouge?

— Będziemy ich aresztować wszystkich razem.

— A naprzód, czy znasz tego kawalera de Maison-Rouge.

— Dosyć dobrze.

— Masz więc jego rysopis?

— Do kata! Santerre mi go udzielił. Wzrostu pięć stóp i dwa lub trzy cale; włosów jasnych, oczu niebieskich, nosa prostego, brody ciemnawej, zresztą widziałem go.

— Kiedy?

— Dzisiaj nawet.

— Widziałeś go?

— I ty także.

Maurycy zadrżał.

— Pamiętasz jasnowłosego młodzieńca, dowódcę elegantów; który tak dzielnie rąbał i który nas oswobodził.

— On to więc był? — zapytał Maurycy.

— On sam. Ścigano go i stracono z oczu w okolicy mieszkania naszego właściciela z ulicy de la Corderie, w sposób, iż wnosić należy, że razem mieszkają.

— W rzeczy samej, to bardzo być może.

— To rzecz niezawodna.

— Ale ja sądzę Lorinie — dodał Maurycy — że jeżeli dziś wieczór przyaresztujesz człowieka, który nam ocalił życie dziś rano, to nieco uchybiasz wdzięczności.

— No! no — powiedział Lorin. — I ty myślisz, że on nas ocalił dlatego tylko aby ocalić?

— A dlaczegożby?

— Mylisz się. Oni się tam zaczaili w zamiarze porwania biednej Heloizy Tison w czasie jej przejazdu. Nasi dusiciele przeszkodzili im, wpadli więc na naszych dusicieli. Przeciwność nas ocaliła. Że zaś wszystko zależy od zamiaru

a tu zamiar wcale się nas nie dotyczy, nie powinienem więc wyrzucać sobie najmniejszej nawet niewdzięczności. Wreszcie mój Maurycy, konieczność to rzecz główna, a nam potrzeba koniecznie świetnego czynu do odzyskania naszej opinii. Co większa jam ręczył za ciebie.

— Komu?

— Santerrowi; on wie, że ty dowodzisz wyprawą.

— Jakto?

— „Czyś pewny, że przyaresztujesz winnych? — zapytał mię.

— „Tak jest odpowiedziałem; skoro mi tylko Maurycy dopomoże.

— „Ale czyś pewny Maurycego? On zobojętniał od jakiegoś czasu.

— „Błądzi kto tak utrzymuje; ani ja ani Maurycy nie zobojętnieliśmy wcale.

— „I ręczysz za niego?

— „Jak za siebie samego".

— Wówczas poszedłem do ciebie; alem cię nie zastał; udałem się więc tą drogą naprzód, ponieważ ty po niej chodzisz zwykle; nakoniec spotkałem cię, a więc dalej naprzód, marsz!

A laur zwycięztwa,
Będzie nam nagrodą męztwa...

— Bardzo mi to boleśnie, kochany Lorinie, ale do tej wyprawy nie mam najmniejszego pociągu; powiesz, żeś mię nigdzie nie znalazł.

— To niepodobna! wszyscy nasi ludzie widzieli cię.

— No dobrze! powiesz żeś mię spotkał, ale żem nie chciał należeć do waszego towarzystwa.

— I to niepodobna.

— A dlaczego?

— Bo w takim razie nie będziesz już obojętnym ale podejrzanym... a wiesz co czynią z podejrzanymi; wiodą ich na plac Rewolucyi i wzywają do oddania pokłonu posągowi wolności: z tą różnicą, że biedacy zamiast kłaniać się kapeluszem, muszą to czynić głową...

— Mniejsza o to, Lorinie, niech się stanie co chce, ale doprawdy to co ci powiem, wyda ci się bardzo dziwnem.

Lorin zrobił wielkie oczy i spojrzał na Maurycego.

— Wiedz! — mówił Maurycy — że życie mi już obrzydło.

Lorin głośnym śmiechem wybuchnął.

— Rozumiem! — rzekł — poswarzyliśmy się z kochanką i dlategośmy tacy melancholiczni. No, piękny Amadysie! stań się przecież znowu człowiekiem, a będziesz znowu i obywatelem; ja przeciwnie, jestem wówczas najgorliwszym Francuzem, kiedy się pokłócę z Artemizą. — Ale, ale, Jej Boska Mość bogini Rozumu, kazała cię najuprzejmiej pozdrowić.

— Podziękuj jej odemnie Lorinie i bywaj zdrów!

— Jakto, bywaj zdrów!

— A tak, bo ja odchodzę.

— A dokąd?

— Przecież do siebie!

— Maurycy gubisz się.

— Eh! drwię ja z tego.

— Maurycy, przyjacielu, zastanów się.

— Już się stało.

— Jeszczem ci nie wszystko powiedział.

— Jak to nie wszystko?

— Bo mi Santerre mówił...

— Cóż on ci mówił?

— Kiedym domagał się aby ciebie wybrał na naczelnika wyprawy, rzekł mi: „Strzeż się!"

— Kogo?

— Maurycego.

— Mnie!

— Tak jest.

— „Maurycy — mówił on — zbyt często bywa w tamtym cyrkule".

— W jakim cyrkule?

— W cyrkule kawalera de Maison-Rouge.

— Jakto — zawołał Maurycy — a więc on się tutaj ukrywa?

— Tak przynajmniej wnoszą, ponieważ tu mieszka jego domniemany wspólnik, nabywca domu przy ulicy de la Corderie.

— Na przedmieściu Wiktora? — spytał Maurycy.

— Tak, na przedmieściu Wiktora.

— A na której ulicy.

— Na starej ulicy św. Jakuba.

— Ah! wielki Boże! — szepnął Maurycy niby błyskawicą oślepiony.

I poniósł rękę do oczu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ KOBIECY.

HYGIENA.

Ubranie.

Im rozleglejsze są czynności danego organu, im bardziej złożona jest budowa, tem częstszemi są jego choroby i tem więcej starań powinniśmy dokładać do utrzymania go przy zdrowiu.

Skórę stanowi narząd o budowie skomplikowanej, mieści w sobie końcowę przyrządy czucia, dwojakiego rodzaju gruczoły i bardzo rozgałęzioną sieć naczyń krwionośnych.

Fizyologiczne czynności skóry dadzą się sprowadzić do następujących:

1) Jako powłoka ogólna chronią skórę od wpływów zewnętrznych delikatniejsze, a głębiej położone tkanki i narządy, a więc od wpływów zbyt wysokiej lub nizkiej temperatury, wiatru, kurzu, od przenikania do krwi płynnych i stałych substancyi (materye gazowe i lotne, jak wiadomo przenikają przez naskórek; woda zaś i sole w niej rozpuszczone — nie przenikają).

2) Przez zawarte w skórze końcowe przyrządy dotyku i zmysłu temperatury, stanowi ona bardzo ważny czynnik w życiu psychicznem organizmu, a także i fizyologicznem, gdyż czucie dotyku i temperatury ostrzega nas przed szkodliwemi następstwami wyniknąć mogącemi z działania na nasz organizm zimna i gorąca, substancyi żrących i t. p.

3) Gruczoły potowe zawarte w skórze, wydzielając w znacznej ilości parę wodną i niektóre inne składniki potu — stanowią narząd oddychania skórnego, niemniej ważnego od oddychania płucnego.

4) Gruczoły łojowe przez swą wydzielinę zabezpieczają skórę od wysychania i pękania, nadają jej połysk, delikatność i gładkość, a tem samem czynią zdolną do wypełniania innych jej czynności i do upiększenia jej wreszcie.

5) Skóra jest narządem regulującym straty ciepła organicznego przez promieniowanie. Wiemy, jak ważną jest ta czynność skóry w ekonomii organizmu i jak dzięki tej regulacyjnej własności ludzie mogą żyć w rozmaitych klimatach.

Jakkolwiek doskonałemi wydać się nam mogą skóra i jej czynności, jakkolwiek te ostatnie zdają się odpowiadać celowi samozachowania organizmu, jednak skóra i jej narządy wydzielnicze nie są w ten sposób zbudowane, aby czynności ich nie podlegały rozstrojowi wskutek wpływów zewnętrznych; nie dość na tem, skóra człowieka nie jest w stanie samodzielnie wypełniać chociażby pierwszego włożonego nań zadania, tj. powłoki ogólnej. Ze wszystkich zwierząt wyższych człowiek tylko pozbawiony jest uwłosienia skóry i ze wszystkich on tylko zamieszkuje we wszelkich klimatach, począwszy od stref zwrotników, aż do krainy białych niedźwiedzi i gęsi islandzkich. Im zwierzę jakie zamieszkuje bardziej północne strony, tem uwłosienie jego (sierć lub pierze) jest obfitsze i dłuższe; jeden człowiek rodzi się nagim i takim, z małymi wyjątkami pozostaje przez całe życie i we wszystkich strefach.

Ten brak uwłosienia skóry zastępuje człowiek przez noszenie odzieży. Odzież więc dopełnia czynności skóry jako powłoki ogólnej. Dzięki zwyczajowi noszenia odzieży — zwyczajowi przyjętemu przez wszystkie ludy, z wyjątkiem niektórych najmniej cywilizowanych mieszkańców stref zwrotnikowych, człowiek żyć może we wszystkich szerokościach geograficznych, we wszystkich klimatach, znosić zarówno największe upały, jak i najcięższe mrozy, zarówno stawić czoło palącym wiatrom południa, jak śnieżnej zamieci krain podbiegunowych. Odzież więc, którą zmieniać możemy stosownie do klimatu i pory roku, sowicie wynagradza nam brak uwłosienia, które, będąc u zwierząt stałem, nie pozwala im zmieniać miejsca pobytu.

Oprócz dopełniania czynności skóry, jako powłoki ogólnej, dopomaga odzież jeszcze innej czynności skóry — mianowicie regulowaniu strat ciepła organicznego. Zmniejszając stratę ciepła na powierzchni ciała, odzież zastępuje nam poniekąd pożywienie. Wiadomo, że to ostatnie zużytkowuje się w organizmie w części na wytworzenie tkanek, w części na produkcyę ciepła organicznego. Otóż ta produkcya ciepła, ceteris paribus, może być tem większa, im większe są jego straty. Rzecz co do zrozumienia bardzo łatwa, jeśli sobie przypomnimy, że organizm ma pewną stałą temperaturę (37^0 C.). Tak więc odzież, zmniejszając (w zimie) straty ciepła organicznego, pozwala ustrojowi mniej wytwarzać ciepła, a tem samem i mniej przyjmować pokarmu.

Jakie więc są warunki wymagane od odzieży.

1) Powinna ona regulować straty ciepła i chronić nas od kurzu, wiatru, słoty itp.

2) Powinna ona nie tamować innych czynności skóry, jako to: wydzielania potu, czynności końcowych narządów czucia zawartych w skórze.

3) Nie krępować ani ruchów ciała, czy to dowolnych (biegania, chodzenia, ruchy rąk i tułowia) czy to automatycznych (oddychania, ruchy wnętrzności brzusznych, ani też krążenia krwi).

Pierwszemu warunkowi czynimy zadość, nosząc inną odzież w lecie, inną w zimie. W lecie dla utrzymania równowagi swej temperatury, musi organizm tracić więcej ciepła, niż w zimie, więc dlatego odzież letnia winna być tego rodzaju, aby ułatwiała stratę ciepła przez promieniowanie; odzież zimowa — winna zapobiegać temu. Zatem w zimie nosimy odzież sporządzoną z gorszych przewodników ciepła; w lecie — z lepszych. Materyały przez nas używane na odzież, pod względem przewodnictwa ciepła dadzą się ułożyć w następujący szereg (przyczem pierwsze miejsce zajmują najgorsze przewodniki) puch, futro, wełna, bawełna, len (płótno). W lecie nosimy odzież płócienną lub bawełnianą; w zimie musimy się zaopatrywać w materyały sukienne, futro itp.

Na stopień przewodnictwa ciepła przez tkaniny ma także wpływ ich hygroskopijność tj. zdolność pochłaniania i zgęszczania pary wodnej i wypierania z przestworów między swemi włóknami powietrza. Woda jak wiadomo jest lepszym przewodnikiem ciepła, niż powietrze, więc i materyały łatwo pochłaniające, a głównie prędko zgęszczające pochłonioną wodę, będą lepszymi przewodnikami ciepła, czyli łatwiej będą oziębiać ciało. Płótno mniej wprawdzie pochłania wody od materyi wełnianych, lecz za to prędzej ją zgęszcza czyli łatwiej wilgotnieje z jednej i schnie prędzej z drugiej strony. Dlatego materyały lniane są z jednej strony lepszymi przewodnikami ciepła z powodu zgęszczania w sobie gazowej wydzieliny naszego ciała (potu); z drugiej odejmują ciału masę ciepła potrzebnego na przeprowadzenie wody pochłoniętej — w stan pary. Dlatego to bardzo opowiedniem jest noszenie w zimie kaftaników wełnianych. Te ostatnie nie dopuszczają nagłego obniżenia się temperatury naszego ciała, utrzymując naokoło niego jednostajne ciepło, uwarunkowane powolnem parowaniem zawartego w nich potu.

(Dokończenie nastąpi.)

Każdemu wolno mieć o innych pojęcie dodatnie lub ujemne, sprawiedliwe lub niesprawiedliwe, żywić dla nich sympatyę lub antypatyę; nie wolno tylko ujawniać swych uczuć i wrażeń w sposób, obrażający czyjś honor.

O kobietach dla kobiet.

Tygodnik francuski „Revue Hebdomadaire" donosi o *nowym sposobie zarobkowania kobiet.* Jedna z przedstawicielek tego fachu, osoba młoda, energiczna i inteligentna, zaręcza, że zarabia kilka tysięcy franków rocznie na dostarczaniu za odpowiedniem wynagrodzeniem damom angielskim z wyższych sfer arystokracyi i finansów codziennie lub dwa razy tygodniowo dowcipów i własnych poglądów do opinii o wszelkich przejawach życia umysłowego. Istotnie w dzisiejszych czasach tak się mnożą codziennie wydarzenia, zarówno z dziedziny sztuki i literatury, jak mody a nawet życia towarzyskiego, że dama światowa, której starania około własnej osoby i toalety niemało zabierają czasu — faktycznie nie jest w możności śledzić tego wszystkiego i utrzymywać umysł swój na stopie koniecznego dziś wykształcenia.

W pracy tej wyręczają ją w czasach obecnych niewiasty inteligentne i przedsiębiorcze, które jednocześnie czerpią z tego źródła wcale pokaźne dochody. Dostarczycielka interesujących tematów rozmowy i poglądów musi codzień przejrzeć najnowsze powieści, przeczytać ostatni dramat lub komedyę, katalogi i krytyki z wystawy obrazów i dzieł sztuki, przerzucić sprawozdanie z ostatniej sesyi parlamentu, stara się o dokładne informacye o procesach sensacyjnych, dowiaduje się o nowych wynalazkach, o katastrofach ostatnich dni, śledzi wszystko, co może być przedmiotem rozmowy salonowej i t. d. Z takim zasobem wiadomości odwiedza swoje klientki i dostarcza im oryginalnych i niby własnych poglądów na najrozmaitsze sprawy, dodaje kilka dowcipnych uwag i w ten sposób dama światowa z ławością może w rozmowie salonowej wprowadzać w podziw swoich bliższych i dalszych znajomych, zarówno dowcipem jak wielostronnem wykształceniem. Niektóre damy przyjmują swoją dostarczycielkę rozumu codziennie, inne zaś tylko przed każdem większem zebraniem lub proszonym obiadem.

Kobiety rosną! Tak twierdzi Marcel Prevost, i udawadnia swe twierdzenie statystyką. W roku 1895 kobieta w Anglii w 15 roku życia wynosiła 5 stóp i 3, a obecnie już doszła do 5 stóp i 5 cali. Powodem wzrostu jest uprawianie sportu czyli ćwiczeń cielesnych, gimnastyki, pływania itp. Równocześnie — mężczyźni maleją. Prevost przestrzega mężczyzn, by nie pozwolili się wyprzedzić kobietom we wzroście. Wówczas bowiem „słabsza płeć wzięłaby górę nad nimi we wszystkich innych kierunkach życia. To jest największe niebezpieczeństwo kobiece.

Dom i kuchnia.

Jak się robi sarninę z baraniny.

Ćwiartkę ładnej baraniny obrać z łoju i błon, natrzeć miałką solą zmieszaną z trochę pieprzu białego i zostawić na 2 godziny. Tymczasem zagotować trzy kwaterki octu winnego z dodaniem kilkunastu goździków, kawałka kory cynamonowej i kilka listków bobkowych, dodać 5—6 kostek cukru, odstudzonym octem zalać baraninę w głębokiem naczyniu, gdzie ma leżeć 4 godziny. Wyłożyć brytwannę świeżą niesoloną słoniną — ułożyć baraninę — po wierzchu obłożyć także słoniną i upiec, — gdy już gotowa, podłożyć łyżkę masła i podlać półkwartą śmietany mocno rozbitą i na kwadrans zostawić w piecu. Następnie wyjąć pieczeń a sos zaprawić troszką octu z cukrem uważając, by był tak ostry, jaki zwykle używa się do sarniny. Jako przyprawy używa się buraczków, smażonych ziemniaków z łyżeczki, czerwonej kapusty lub też sałaty z kiszonych rydzów.

O borówkach.

W miesiącu sierpniu najwięcej bywa borówek, zwykle też w tej porze są najtańsze i dobrze te panie wychodzą, które je wtedy przygotują.

Borówki urządzać można w różny sposób; robią je niektórzy tak kosztownie, że na kwartę ich biorą po 2 f. cukru. Nie ulega wątpliwości, że z takiej proporcyi muszą być wyśmienite, ale to już nie jest kompot, lecz konfitura i nie wszyscy lubią do pieczystego tak słodki dodatek. Na zwyczajny kompot, którego po większych gospodarstwach urządzają po kilkanaście i więcej nieraz garncy, dostatecznie jest brać 4 f. cukru na 3 garnce borówek. Należy tylko borówki, przeznaczone do smażenia, przebrać starannie, zsypać w odpowiednio duże naczynie i sparzyć wrzącą wodą, poczem wybrać na durszlak lub przetak, dobrze osączyć i złożyć do dość gęstego syropu, poprzednio w dużym rondlu lub kociołku przygotowanego. Gdy się z kwadrans podduszą, trzeba dla dobrego smaku i złagodzenia goryczki, która zwykle jest w borówkach, dodać albo śliwek oczyszczonych z pestek, lub gruszek obranych i pokrajanych w ćwiartki, kilka skórek pomarańczowych drobno posiekanych, oraz tłuczonego cynamonu i goździków. Wszystko razem, ciągle mieszając (bo borówki wznoszą się w górę i kipią), smażyć jeszcze nie więcej nad pół godziny, zaraz składać w przygotowane duże garnki lub słoje gliniane albo kamienne i póty nie owiązywać, dopóki zupełnie nie wystygną i na wierzchu nie utworzy się gruby kożuch, który w przyszłości chroni od pleśni.

Zupełnie zimne borówki (co dopiero nazajutrz nastąpi) owiązać starannie papierem i ustawić w chłodnem i suchem miejscu. Gdyby po pewnym przeciągu czasu pokazało się nieco pleśni na powierzchni borówek, należy ją zebrać, a borówki z garnkiem wstawić do ciepłego, niezbyt jednak gorącego pieca, aby się dobrze rozgrzały, a po wystudzeniu pokryły się na nowo obeschłą, grubą warstwą.

Kto nie chce od razu wydawać dużo na cukier, niechaj część świeżych borówek nasypie do pełna w słoje szklanne lub butelki, zaleje wodą prosto ze studni, tak, aby je pokryła, owiąże pęcherzem i wyniesie do piwnicy. Po pewnym czasie woda na borówkach nabierze kwaśnego smaku, a dolana do szklanki czystej wody jest bardzo miłym, chłodzącym napojem w czasie upałów. Kwas ten, gdy borówki użyć potrzeba, należy zlać w butelki, dobrze zakorkować i wynieść do piwnicy. Dłużej trzymany smaku nie straci. Borówki zaś zagotować, jak każdy kompot, z potrzebną ilością cukru i korzeni i zimny podawać do pieczystego.

Powidełka agrestowe.

Nazbierać dojrzałego agresty cztery litry, włożyć w nowy garnek lub rondel, taki, w którym nie było żadnych tłuszczów, dolać litr wody i wygotować na musę. Przestudzone przeciera się przez włósienne sito, aby ziarnek i skórek nie było, dodaje funt cukru i smaży do gęstości, mieszając ciągle, aby się nie przepaliło. Bardzo dobre i zdrowe powidełka dla chorych i dzieci, na święta do placków i pierożków.

Dyspozycya obiadów na cały tydzień.

Niedziela. Barszcz z uszkami, wołowa pieczeń z mizeryą, krem pomarańczowy.

Poniedziałek. Kapuśniak, cielęca pieczeń z marchewką, omlet z konfiturami.

Wtorek. Chłodnik, zrazy nelsońskie z pieczarkami, szarlotka z jabłek.

Środa. Chłodnik dyetyczny, cielęce kotlety z jajkami, legumina z kaszki.

Czwartek. Zupa cytrynowa, roztbef ze szpinakiem, kompot z jabłek.

Piątek. Zupa zimna „nic", karp w szarym sosie, pierożki z powidłami.

Sobota. Zupa szczawiowa, baranina z kluseczkami, legumina z ryżu z sokiem.

:: HUMORYSTYKA ::

Także sen.

— Wyobraź sobie, śniło mi się dziś, żem się przez całą noc drapał po głowie... Nie wiesz, co taki sen może znaczyć?

— Idź do szczotkarza i kup sobie mocny grzebień, a zobaczysz, że ci się ten sen więcej nie powtórzy.

Kapral (do rekruta): Jeżeli, trutniu, jeszcze raz papę otworzysz, to cię na cały dzień do ciupy wsadzę. Rozumiesz?! (po chwili ostrzej): Zrozumiałeś, rekruckie ucho! jeżeli zaraz pyska nie otworzysz, to pójdziesz do aresztu!

O babie.

I biedaka i nababa,
Zła zamęczyć może baba;
Darmo bronisz się Arabie,
Próżno się odgrażasz Turku:
Pozwól jeno rządzić babie,
Zje we własnem cię podwórku.
Wznosić będziesz okrzyk słaby,
Ty Francuzie i ty Szwabie:
— Uwolnijcie mnie od baby,
Wzbrońcie mnie zamęczać babie!
Już byś też wynajął draba,
By spróbował na niej pięści...
I tu górą będzie baba,
Babie wszystko się poszczęści.
Z lamentami, wrzaskiem krzykiem,
I świat zwalczy swem językiem.

Uwaga. Wiersz ten miał być przełożony na język chiński, intrygi jednak pewnej wpływowej damy (czytaj „baby") zniweczyły szlachetne zamiary autora.

— Kiedy mi pan odda dług? Tak wygląda, jakby pan całkiem o mnie zapomniał.

— Właśnie tej nocy śniłem o panu. Słyszałeś pan? Teraz mnie możesz znowu na jakiś czas zostawić w spokoju.

Pociecha z dzieci.

— Kopę lat... ho, ho, dawne czasy i zestarzeliśmy się... Jak się tam panu powodzi, jak dzieci?

— Na dzieci nie mogę narzekać, pracują na siebie, mam z nich pociechę.

— Czem się trudnią?

— Uważa pan, starsza córka trochę utyła i obwożą ją po jarmarkach jako „tłustą Florę", jeden syn, mający zrośnięte nogi pokazuje się pod nazwą „człowieka-foki", drugi z nosem trochę krzywym jako „człowiek-ptak", zaś najmłodsza córka, mająca po sześć palców u rąk i nóg, popisuje się w muzeum osobliwości, pod nazwą „damy-klawiatury".

Też owacya.

Rzecz się dzieje w teatrze trzeciorzędnym w Ameryce.

Nieznany autor wystawia swoją pierwszą sztukę, która od początku robi zupełne fiasko.

Podczas pierwszego aktu, publiczność z pierwszych rzędów krzeseł ostentacyjnie opuszcza teatr.

W akcie drugim galerya wywołuje na scenę autora by go zasypać jajami i zgniłemi jabłkami.

Patrząc na to, dyrektor, który zrujnował się na wystawę, rwie z głowy włosy i już układa plany samobójcze...

Nareszcie w antrakcie ku końcowi aktu 3-go, dyrektor stojąc za kulisami, słyszy dochodzące z sali rzęsiste oklaski.

— Nareszcie — woła uradowany — publiczność zaczyna się ożywiać... zwycięztwo!

— Nie baj pan — przerywa sufler — pan myślisz, że to oklaski?

— A więc cóż?

— To widzowie wzięli autora pomiędzy siebie i... wymierzają mu policzki...

Zadowolona.

— Niuto! serce moje wolne, czy chcesz w niem zamieszkać?

— Dziękuję, jestem zupełnie zadowolona z mego mieszkania na Wiślnej.

PARASOLE

najlepszej jakości
męskie i damskie
od 3 kor., poleca

Teofil Bękner

Kraków, Długa 4.

Dla dzieci!

polecamy książeczki wydawane przez
Jadwigę z Łobzowa.

1)	„**Polne kwiaty**“ zbiór legend . .	cena 70	hal.
2)	„**Jak ja się bawiła**“ wierszyki .	„ 40	„
3)	„**O królewnie Kasi**“ powiastka .	„ 40	„
4)	„**Trzeci Maj**“ obrazek	„ 40	„
5)	„**Powinszowanie**“ wierszyki . .	„ 30	„
6)	„**Przed latami**“ wiersze	„ 50	„
7)	„**Paciorek**“ wiersze	„ 50	„
8)	„**Pójdę ja pójdę**“ deklamacye . .	„ 40	„
9)	„**Coś dziwnego**“ wiersze i powiastki	„ 30	„
10)	„**Korale Marysi i Kasi**“ teatrzyk	„ 20	„
11)	„**Król kochany**“ teatrzyk . . .	„ 20	„
12)	„**Przeczytam kilka gawęd**“ . . .	„ 24	„
13)	„**Krakowiaczek**“ wierszyki narod.	„ 30	„

Dostać można w wszystkich księgarniach, albo pisać do Krakowa: **Jadwiga Strokowa, Kraków, Kilińskiego 5.**

Przyrządy i słoje

do konserwowania jarzyn i owoców **systemu Wecka** poleca wyłączny skład i sprzedaż

W. Halski, Kraków

Sukiennice 21, 22.
Cenniki ilustrowane na żądanie.

B. Wierzejski

Kraków Rynek, róg Floryańskiej
dostawca dla
Związku lekarzy
poleca w wielkim wyborze
Bieliznę białą i kolorową, Krawaty, Rękawiczki, Kapelusze.
Telefon Nr. 368.

W. Stachowicz

krawiec męski
W Krakowie. Rynek główny l. 29.
poleca na sezon wiosenny i letni wielki wybór materyałów angielskich, francuskich i krajowych.
Ceny umiarkowane.

Skład fortepianów
W. Barabasza

Kraków, Rynek 39, A-B.
dom W-go Fischera — poleca
instrumenta używane po cenach najniższych, tak do **wynajmu** jak i **sprzedaży**.

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupczyc w Krakowie.